

Jan Jakub Kolski i jego „jancioland”



Jan Jakub Kolski podkreślał zawsze, że dla niego jako twórcy filmów bardzo ważna była szczerłość i „nie-wychodzenie z własnych butów”. Na pytanie, czym dla niego są te buty, odpowiedział: „Filcaki. Mają na dole gumę, a wyżej ciepłą, filcową cholewę. Dobrze, żeby chodzić po ziemi”

Wieś to miejsce magiczne dla wielu mieszkańców miast, którzy jako dzieci przebywali latem w gospodarstwach dziadków czy wujków. Samo dzieciństwo jest czasem mitycznym, do którego wracamy we wspomnieniach, a dzieciństwo na wsi! Wakacje, czas swobody, a właśnie wiejska swoboda jest najpełniejsza - te przestrzenie łąk i pól, drogi piaszczyste czy z koleinami wśród trawy, las na horyzoncie albo całkiem blisko, rzeka, jezioro czy choćby strumyk nieopodal, pachnące sianem i pianie koguta o świcie... Niektórzy pamiętają jeszcze mleko prosto od krowy, ciepłe i z pianką, pajdę chleba z wodą i cukrem, jeżyny podleśne i wiśnie prosto z drzewa. Wspomnienia z takich lat dziecięcych to ciągłe słońce, ciepło, ganieńcie cały dzień, może i na bosaka, i głos babci nawołującej na posiłek.

Takie dzieciństwo miał też i Jan Jakub Kolski. Urodzony w wielkim mieście, doświadczał nie tylko wiejskich wakacji, ale i

całe cztery lata, między 11. a 15. rokiem życia, spędził w domu swego dziadka we wsi Popielawy, niedaleko Tomaszowa Mazowieckiego: „Wszystko tam dla mnie było i nowe, i czarowne. Dziadek był rymarzem, odwiedzali go różni ludzie. Wystłuchiwałem ich opowieści”. Pierwsze wspomnienie zaś Kolskiego to: „Zima. Mam pięć lat. Jest duży mróz. Jakieś 20 stopni. To Popielawy. Wybiegam bosko na dwór, żeby sprawdzić, czy śnieg rzeczywiście jest zimny.

Odkrywam, że nie tylko jest, ale wręcz parzy”. Ten okres, wiejski okres jego życia, stał się źródłem inspiracji i częścią charakteru Jana Jakuba Kolskiego (imał się w życiu wielu zajęć - wymurował między innymi dom jednemu z mieszkańców Popielaw), a jak sam mówi: „w tej edukacji

dziecięcej tkwią źródła mojej tajemnicy, zainteresowań. Dzieciństwo „obrabia” naszą wyobraźnię. Ona jest taka jak kraina, w której spędziliśmy tych parę dziecięcych lat. Dorastanie nie ma mocy korygowania tego wyobraźniowego wyposażenia. Można je tylko na coś zamieniać. Ja zamieniam na filmy, scenariusze, książki”.

Emilia Zimnicka, Izbica

WIGILIA W IZBICY

*W małym kościółku w Izbicy
Trwa magia wigilijnej jedynej nocy
Idą ludzie by śpiewać kolędy
Popłynie w mroźną noc rzewna melodia
„Lulajże Jezuniu” lub „Cicha noc”
Dobrze, że nad Polską trwa cisza pokoju
Którą niech ochrania mały narodzony Jezus
Bo świat jawi się dziwnie niespokojny
W sercach ludzi na których odbiła
Czarne piętno wojna*



Jan Jakub Kolski, reżyser filmowy, operator i scenarzysta, a także prozaik, urodził się we Wrocławiu w roku 1956. Droga do reżyserii wiodła go od pracy fizycznej we wrocławskiej wytwórni filmowej, przez asystenta operatora kamery w lokalnym oddziale Telewizji Polskiej, w końcu studia na Wydziale Operatorskim PWSFTiT w Łodzi. Po ukończeniu studiów realizował filmy krótkometrażowe i dokumentalne, oświatowe i przyrodnicze, społeczne i religijne, a przede wszystkim dotyczące gór (z zamknięciem się wspinał), jaskiń (przez 12 lat uprawiał speleologię) i podróży (jak z wypraw do delty Mekongu, zaginionego miasta Inków i wysp Polinezji, organizowanych przez słynnego podróżnika Jacka Pałkiewicza). Jako reżyser filmów fabularnych zadebiutował Kolski w roku 1990 „Pogrzebem kartofla”, a po serii filmów „nurtu

wiejskiego” zrealizował m.in. „Daleko od okna”, „Pornografie”, „Jasminum” czy „Zabić bobra”. Był wielokrotnie nagradzany na festiwalach filmowych w Polsce i na świecie, a od roku 2000 jest członkiem Europejskiej Akademii Filmowej. Kolski jest twórcą nie tylko filmów, ale i spektakli telewizyjnych, a także pisarzem - opublikował opowiadania (jak „Mikroświaty”), powieści (ostatnia to „Egzamin z oddychania”) i bajki dla dzieci „Jadzia i małoludki”. Ponadto serial telewizyjny „Małopole czyli świat” - o tematyce wiejskiej, recital piosenek jego autorstwa „Piosenki polne i okoliczne”...

„Pogrzeb kartofla”, otwierający „nurt wiejski” w twórczości Kolskiego (reżysera i scenarzysty zarazem tychże filmów) to historia z roku 1946, trudnego czasu lat powojennych, gdy dokonywano na wsi podziału dworskiej ziemi, do rodzinnej wsi wracali chłopci uznani za zaginionych, a w okolicy błakali się ukrywający się wcześniej, ocalali z zagłady Żydzi. O tym filmie, niełatwym przecież i niewesołym, pisano, że „reżyser w zaskakujący sposób film o nienawiści nasycił poezją i pięknem”. Dwa lata później Jan Jakub Kolski nakręcił „Pograbka”, o trudnym losie tytułowego bohatera trudniącego się pochówkiem padłych zwierząt; i tu oceniono, że świat ukazany w filmie „zaskoczył wszystkich swą poezją, znalezioną tam, gdzie dotąd niemal wyłącznie widziano biologizm i brutalność”. W roku 1993 powstał „Jańcio Wodnik”, a w kolejnych latach dwa jeszcze filmy „wiejskie” Kolskiego: „Cudowne miejsce” i „Grający z talerza”. „Cudowne miejsce” to wymaginowana, dziwna wieś, w której toczy się walka dwóch mocy, a których pochodzenie trudno na pierwszy rzut oka rozpoznać. Zdarzają się tu cuda, ich świętość jednak bywa podejrzana. „Grający z talerza” zaś to baśniowa wielowątkowa opowieść o śmierci i miłości. Akcja toczy się w malowniczej, położonej pośród równin wsi, w świecie załodnionym przez samotników szukających przyjaźni i miłości. Każdy z tych filmów nosi znamię realizmu magicznego:



„to pięknie filmowana rzeczywistość wzbogacona o świat magiczny, rodem na równi ze sfery religii, jak i pogańskich podań. Tu Bóg jest dobrym gospodarzem władającym na swoim poletku, święci pańscy czuwają nad losami ludzi, strzygi i krasnoludki chowają się po kątach”. Jan Jakub Kolski stworzył w swoich filmach wieś, która „łączy w sobie autentyczny pejzaż wsi mazowieckiej z wyrafinowaną urodą kreacji plastycznej, opowieści prawdziwe z wymyślonymi, inspiracje literackie i filmowe z faktami historycznymi, cuda

i magię z talentem i wyobraźnią twórcy”. Stworzył Kolski po prostu - „Jańcioland”.

Jańcio, bohater tytułowy „Jańcia Wodnika”, wspaniale zagrany przez Franciszka Pieczkę, to jeden ze zwykłych miesz-

kańców wsi, który wskutek klątwy rzuconej na tę wieś przez wędrownego dziada, otrzymuje nagle niezwykły dar, moc czynienia cudów. Porzuca chałupę, gospodarstwo i wyrusza w świat, po takiej oto rozmowie z brzemionną żoną:

„ - A czy ty Jańcio aby wrócisz na rozwiązanie?

- Wrócę, Weronka, tylko zaspokoję potrzeby czynienia znaków, i wrócę. Widzisz, Weronka, że czasem najdzie coś takiego człowieka.

- Że też cię akurat teraz musiało najść... - Ani widzisz, Weronka, człowiek myśli, że wybiera sobie co chce, a w gruncie rzeczy to nie on wybiera.

- Ładnie mówisz Jańcio od wczoraj. Bardzo ładnie... Szkoda takich słów tylko dla mnie. Podziel się nimi, Jańcio, z ludźmi.

- Podzielę się, Weronka, podzielę. Ach... Piękna jesteś, Weronka, aż serce boli. Jak ty Weronka pokusę oddałeś?

- Jakoś oddałem, Jańcio.

- Ciężko mi będzie, Weronka, pomyśleć o tobie. Oj, ciężko...

- A... oszpecz mnie, Jańcio! Lżej ci będzie w świat odchodzić. To oszpecz mnie, miły!

- Jak oszpecić?!

- Utnij mi język, Jańcio! Jakoś zmożę. Utnij mi język. Żeby nie miała pokusy odzywać się do nikogo!”

Jańcio wyrusza w świat, zyskuje sławę, ale czy było warto? Wraca, i dokonując ablucji, a potem chodząc po polu, tak mówi (a słowa jego przechodzą w piosenkę): „Pochylę nisko głowę, przeproszę wszystkie drzewa. Ułożę piękną mowę, zaśpiewam, zaśpiewam. Pochylę głowę nisko, przeproszę wszystkie ptaki. Dziad jestem, nie

panisko, dziad jestem byle jaki. Pochylę nisko głowę, przeproszę czarną ziemię. Niech wszystko będzie nowe, niech stare wyjdzie ze mnie. Jańcio, z kamiennym sercem! Jańcio, z zamkniętą głową! Jańcio, z duszą w rozterce! Jańcio, z nieczystą mową...”

„Jancioland”, ta magiczna kraina filmów Jana Jakuba Kolskiego, urzeka od pierwszych kadrów. Kamera pokazuje rozległe pola, zielen, przestrzenie, ziemię zaoraną, a wśród tej niezmierzonej przyrody - człowiek, najpierw mała sylwetka,

nikta wśród natury. Jest też koń, jak w filmie „Pograbek” czy „Jańciu Wodniku”. Przyroda, człowiek, zwierzę, dalej historie zwykłe i niezwykłe, magia w małej wsi, ludzie - odmieńcy, a wszystko pokazane niespiesznie, długimi ujęciami. Świat filmów „wiejskich” Kolskiego wprowadza nas w rytm natury, gdzie wszystko powinno być przewidywalne, a jednak zdarzają się rzeczy niezwykłe. Niezwykli są też bohaterowie jego filmów, jak karliczka, człowiek obdarzony dwiema twarzami czy przyciągający metale, a także stygmatyczka o reputacji dziewczyny lekkich obyczajów. Reżyser zapytany, po co mu „taka menażeria, taka zbieranina dziwolągów”, odpowiada nieodmiennie: „Ja ich nazywam Dzieci Boże. Dlaczego? To są nadwrażliwcy, rozmaite „strachy na wróble”. Odbierają oni

codziennosc, życie znacznie intensywniej, każdym nerwem. Dotkliwiej też cierpią. Na nich kieruje się też zwykle środowiskowa agresja”.

Niemal każdy, kto jako dziecko mieszkał czy przebywał na wsi, zna takich odmieńców, „wioskowych głupków”. Jan Jakub Kolski stworzył w swoim magicznym wiejskim świecie miejsce dla nich odpowiednie, gdzie są bohaterami równorzędnymi z ludźmi zwykłymi, a nawet więcej - to na nich opiera się świat przedstawiony. To ich losami wzruszają się widzowie, dla których „Jańcioland” jest „miejszem osobnym i niezwykłym, trochę strasznym i tajemniczym, trochę zaś śmiesznym i infantylnym, ale zawsze poszukiwanym i drogim”.

Jolanta Betkowska, Słupsk



Okazuje się, że książka w tradycyjnym wydaniu najlepiej spełnia przypisaną jej rolę

czytali swoje wiersze

Tegoroczna, druga już edycja Biesiady Poetyckiej w Gminnym Centrum Kultury i Promocji w Kobylnicy z Turniejem Jednego Wiersza (pod patronatem Kazimierza Kleiny - senatora RP, Sławomira Ziemanowicza - starosty słupskiego, Leszka Kulińskiego - wójta gminy Kobylnica) miała propagować poezję, stworzyć możliwość autoprezentacji literackiej i uwrażliwić. I to zrobiła. Zorganizowana 21 listopada br., zintegrowała środowisko lokalnych twórców, głównie

działających przy starostwie słupskim, a także twórców spoza regionu słupskiego. Do Kobylnicy przyjechała m.in. poetka z gór, Irena Stopa, właścicielka 10-hektarowego gospodarstwa rolnego z Jordanowa, działająca w tamtejszym Stowarzyszeniu Twórców Ludowych. Gościem specjalnym był Rafał T. Czachorowski, poeta, prozaik, animator kultury, redaktor i wydawca tomików poezji. Wydał zbiór opowiadań „Rodzaje zagrożeń” (Warszawa 1992), tomiki poezji - „Marzenia sennie” (Warszawa 1991) „Czas prokreacji” (Warszawa 1994). Jego wiersze tłumaczone są na język angielski, rosyjski i bułgarski. Związany był m.in. z Konfederacją Poetów Niezdecydowanych, „Stodołą”, pismem „Enigma” i „Magazynem Literackim”. Organizuje warsztaty poetyckie i lekcje o książce w szkołach. Jest pomysłodawcą warsztatów dla młodzieży „Napisałem wiersz i przeczytaj mnie”.

Na biesiadzie mówił o swoim warsztacie pisarskim, o tym jak powstają jego wiersze, jak na poezję reagują dzieci i młodzież szkolna, że po wielu eksperymentach wydawniczych dochodzi m.in. do przekonania, że... książka w tradycyjnym wydaniu spełnia najlepiej przypisaną jej rolę. Przeczytał też swoje wiersze.

Turniej Jednego Wiersza wyzwolił twórczą rywalizację i spore emocje. Zgłoszono trzydzieści jeden wierszy. Jury w składzie: Rafał T. Czachorowski, Jolanta Nitkowska-Węglarz - prezes słupskiego oddziału Związku Literatów Polskich, Barbara Jęchorek - dyrektor Gminnej Biblioteki Publicznej w Kobylnicy i prof. Sławomir Rzepczyński z Akademii Pomorskiej w Słupsku do finału zakwalifikowało piętnaście utworów. Niestety autorzy dwóch nie dotarli na imprezę i nie wzięły one udziału w turnieju, ponieważ wymogiem było, by zostały zaprezentowane osobiście przez ich autorów.

Pierwsze miejsce przyznano p. Andrzejowi Szczepanikowi z Bytowa, ubiegłorocznemu laureatowi turnieju za wiersz pt. „Koń z niebieską grzywą”. Drugie - p. Krystynie Wojewodzie z Miastka za wiersz „Przemijanie”, a trzecie - 16-letniej Sarze Kędzierskiej ze Słupska za wiersz „Przeszłość”. Laureaci otrzymali nagrody rzeczowe i finansowe oraz okolicznościowe statuetki wykonane przez Katarzynę Tomasiak ze słupskiej pracowni „Poddasze Wyobraźni”.

Z przykrością trzeba odnotować, że turniej nie odbył się bez pewnego zgrzytu. Otóż po jego rozstrzygnięciu okazało się, że nie wszyscy autorzy, w tym także niektórzy nagrodzeni, zgłosili do oceny wiersze nigdzie dotąd niepublikowane.





Zgłoszono też wiersze już publikowane i - jak się okazało - m.in. w jednej z naszych powiatowych antologii. Ze względu jednak na to, że informacje o takim wymogu nie dotarły w odpowiednim czasie do wszystkich uczestników, darowano to im, i wynik konkursu został uznany.

W piosence poetyckiej zaprezentowali się młodzi artyści: Jakub Mielcarek, Maja Mędrak i Diana Gliniecka, a także słupski bard związany z Grupą „Wtorkowe Spotkania Literackie”

- Grzegorz Chwieduk. Utwory w ich wykonaniu dostarczyły wielu wrażeń i doskonale komponowały się z recytowanymi wierszami.

Można było obejrzeć wystawę poświęconą twórcom i pisarzom regionu słupskiego oraz gościom ubiegłorocznej Biesiady Poetyckiej i wystawę obrazów lokalnych malarzy.

Biesiada będzie kontynuowana w przyszłym roku.

Katarzyna Nazaruk, Słupsk

nagrodzone wiersze w II turnieju jednego wiersza



Andrzej Szczepanik, Bytów - I nagroda

KOŃ Z NIEBIESKĄ GRZYWĄ

*Dziadek przyjeżdżał po mnie rowerem z Radomska
sadał na drucianym siodelku przykręconym do kierownicy...
pędziliśmy polnymi ścieżkami
pomiędzy płachtami żółtych zbóż
przetykanych czerwienią dzikich maków
siedziałem zwrócony do niego twarzą
nieustannie pogwizdywał tą samą melodyjkę*

*tęskniłem za jego muzykowaniem
grał na wielkim czarnym fortepianie
na którym zawsze stała pusta szklanka z byżeczka
oblepioną resztką wiśniowych konfitur
obok ozdobnych ramek z rodzinnymi fotografiami
podczas gdy walił bezlitośnie w wyszczerzone klawisze
śpiewaliśmy razem wojskowe piosenki*

*których uczył mnie w wolnych chwilach
hej strzelcy wraz nad nami orzeł biały
a przeciw nam śmiertelny stoi wróg...*

*lubilem jak głaskał moje włosy
mówiąc - ładnie dziś śpiewałeś robaczku
gdy zbliżał się wieczór wypijaliśmy po szklance herbaty
pogryzając kostki cukru ze wspólnego spodeczka
potem dziadek odwoził mnie na wieś
oświetlając drogę rowerową lampką
często przyświecał nam księżyc wysrebrzając śpiące pola
a dziadkowa łysina błyszcząca jak wielka żarówka
pamiętam te pośpieszne powroty
czekała na mnie matka gorące mleko i koń na biegunach
z grzywą uplecioną z niebieskiej wełny
był przyjaźnie szklanym okiem
wybłyszczonym płomykiem karbidowej lampki.*



PRZEMIJANIE

*W ogrodzie naszym ptaszek nie śpiewa,
a w sadzie już wyschły wszystkie drzewa.
Grządki zarosły chwastami i choćby je
pielili i plewili i tak wszystko na nic,
bo ziemia jałowa, a zielska bez granic.*

*Pierwiosnek już dawno wiosną nie zakwita,
a lilak też oczu nie zachwyca.
Tulipany co zawsze schylały swe główki
i pozdrawiały narcyza co się przyglądał
sam sobie i własnej dziwował urodzie.*

*A malwy co pod oknem rosną
i zalotne spojrzenia słonecznikom niósły?
A nieśmiertelnik co stał i wzdychał w zachwycie
dając znak niezapominające, że kocha ją nad życie?
A dumne róże co pośrodku stały i się nie kłaniały.*

*Wszystko to tylko wspomnienia, wspomnienia...
Pozostały już tylko marzenia, marzenia...
Bo ogrodu już nie ma, nie ma...
I tylko wyrasta mech spod starego kamienia,
i fruwać żeszczęte liście, co ich grabić nikt nie chce.*

*Dom opustoszał i pochylił się ze starości
I trzeszczą drzewi w zawiasach jak stare kości.
Nawet ściany popękane stuliły uszy
nie chcąc słuchać lamentów i narzekań starych ludzi,
wolał sobie podrzemac.*

*Lata mijają i sił nie starcza
na odnawianie domu, cóż więc mówić
o kwiatach, ogrodzie którego podlewać
i pielęgnować nie ma komu.*



Sara Kędzierska, Słupsk - III nagroda

PRZESZŁOŚĆ

*Kiedy tak czekam w liściach osiki
Nachodzi mnie wielka potrzeba
Zabijania czasu
Co mnie cicho od tyłu
Łapie za szlufki spódnicy*

*Stoję w drżącej koronie zielonego pyłu i
W starej kamienicy
Z historią wisielca cztery pokolenia wstecz
To coś jak wnyki
Na jednej kostce i tak za dużo.*

...czyli kłopot z ghostwriterem



*- ...no i mamy z panią kłopot - powiedział pan Janek, kiedy przyjechał powiadomić mnie, że książka idzie do druku.
- Trzeba zrobić drobną korektę - i wymieniał, co do poprawki. Słuchałam, niczego nie rozumiejąc. - Pisownia małą i wielką literą? J chyba przypisy? Przepisy były dwa: na prażuchy i pyzy. Tak naprawdę przykro mi się zrobiło. Kłopot? Wydawca nie wiedział jak nazwać i opisać moją rolę w powstaniu tej książki?*

Wcześniejsze publikacje powstawały we współpracy braci Henryka i Jana Maziejuków i opatrzone były nazwiskami obu. Henryk pisał, Jan dostarczał fotografie. Henryk Maziejuk zmarł, nie doczekawszy druku ostatniej książki. Kiedy zatem Jan Maziejuk zapragnął opowiedzieć własną historię, szukał kogoś, kto ją napisze. Opowiadał mi, że prosił kolegów

dziennikarzy, ale odmawiali z różnych powodów. Wreszcie pomyślał o mnie, osobie bez jakiegokolwiek doświadczenia.

- Panie Janie, oczywiście to zaszczyt dla mnie, że chce mi pan powierzyć swoje życie, ale nie wiem czy podołam. Nie jestem pisarką. Ot, skrobnę coś czasem do „Powiatu”, a tu poważne zadanie.

Uległam jednak prośbie pana Jana. Nie było między nami żadnej formalnej umowy, jedynie jakieś mgliste plany. Nie było nawet pewne, kto i za jakie pieniądze książkę wyda. Pan Jan gotów był sfinansować jej wydanie z własnych środków.

Przywiózł do mnie do domu prawie całe swoje archiwum, wcześniejsze publikacje Henryka Maziejuka, i te pisane z nim we współautorstwie oraz odręcznie napisaną genealogię rodu.

- Jak się do tego zabrać? Nawet wybór narratora nie był oczywisty: pierwsza czy trzecia osoba? Poza tym historia

unickiej pańszczyźnianej rodziny sięgała czasów sprzed powstania styczniewego. Wszystkie wątki i motywy wydawały się interesujące i warte minimalnego choćby rozwinięcia. Tekstu miało być około sto stron. Więcej miejsca zleceńodawca rezerwował dla fotografii. A ja nie znałam całości ani końca, bo go po prostu nie było. Pan Janek opisywał jakieś zdarzenia, przywoził albo przysyłał tradycyjną pocztą notatki. Następny razem wracał do któregoś wątku, rozwijał wcześniej opisaną historię lub prosił o ich rozwinięcie na podstawie dokumentów z archiwum. W tej sytuacji niezwykle cenny okazał się komputer. W każdej chwili mogłam wrócić do zapisanego tekstu, coś wstawić, przenieść, dopisać. Taka praca jeszcze kilkanaście lat temu byłaby niemożliwa. Czasem zastanawiam się, jak można było bez komputera napisać pracę magisterską, albo cokolwiek.

Prosta biografia byłaby banalna, mało interesująca, tym bardziej, że wcześniej co jakiś czas w pismach regionalnych pojawiały się anegdota z życia fotoreportera. Jeśli książka ma opowiedzieć nie tylko jednostkową biografię, ale jeden los, którego główne motywy są typowe dla pokolenia, warto pokusić się o opisanie tamtego czasu. I napisać to tak, by nie zgubić tego co osobiste, indywidualne; co pokaże bohatera prawdziwego, nielukrowanego. Trzeba przecież opowiedzieć o relacjach rodzinnych, środowiskowych, społecznych i historycznych, one bowiem kształtują człowieka. Zamierzenie ambitne, ale czy podołam?

Jan Maziejuk, rocznik 1938, z urodzenia Podlasiak, chłop z pochodzenia społeczny, mieszkaniec Ziemi Odzyskanych z historycznej konieczności, kierowca po szkole zawodowej, regionalny dziennikarz-fotoreporter ze zrzędzenia splotu wypadków i własnego, popartego uporem talentu może stać się dla czytelnika przewodnikiem przez meandry skomplikowanej wojennej i powojennej rzeczywistości, aż do spotkania z „Solidarnością”, czyli historią najżywszą, nieokrzepłą.

Życiowe wypadki były tragiczne i smutne, zbyt smutne, by tylko na nich się skupić. Powstałaby jakaś łzawa opowieść nieprzystająca do charakteru człowieka, który zapragnął opowiedzieć swoje życie. Poza tym ich ocena z dzisiejszej perspektywy potwierdza dawną sentencję; „co cię nie zabije, to cię wzmocni”. Ten pozytywny aspekt tworzył klimat losu bohatera i splatającej się z nim historii. Dlatego kontekst rodzinny, społeczny i historyczny zdarzeń wydawał się konieczny.

Nie obeszło się bez dodatkowych rozmów, również po to, by uchwycić charakterystyczne sformułowania. Wiarygodna narracja wymagała zrozumienia motywów, poglądów, sympatii oraz samooceny bohatera. Nie tylko tego, co mówi. Starłam się rozumieć jego racje, wybory, oceny, a przede wszystkim opisać jak dokonywał wyborów, jaki świat tworzył wokół siebie. Albo w jaki sposób fotografia stawała się sensem jego życia. Przyjeżdżał zawsze z aparatem, a o fotografowaniu opowiadał najswobodniej.

Praca w „Zbliżeniach” i „Głosie Pomorza”, czyli regionalnych pismach będzie pretekstem do pokazania środowiska, przypomnienia pism i wypowiedzi z tamtego okresu. Nieocenne okazały się zbiory Bałtyckiej Biblioteki Cyfrowej. Siedząc

w domu na wsi penetrowałam kolejne numery, poszukując konkretnej wiadomości lub informacji o osobie.

- Jak wtedy żyliśmy? - Jan powtarzał pytanie, na które odpowiadał konkretnymi sytuacjami, przypominając zdjęcia, na przykład to z kontenerem na śmieci, na którym ktoś napisał „Baltona dla biednych”. Niczego nie odrzucał, nie wypierał się, był dzieckiem systemu, widział jego dobrodziejstwa i podłości. Sprawdzałam; z biblioteki z Gdańska pożyczyłam publikację Igora Hałagidy. Prosta, jednoznaczna odpowiedź, poza prawdą fotografii reportażowej byłaby fałszywa, bo uproszczenia deformują historię.

„W kalendarium Anny Boguckiej-Skowrońskiej „Raport o stanie bezprawia” znajduję zapis: „Rok 1985 rozpoczął się pod znakiem procesu zabójców ks. Jerzego Popiełuszki (...). 8 marca 1985 r. Sprawa Jurka Olszewskiego w Koszalinie (...) sygn.I.C.143/85.” Kolejne daty i kolejne informacje o procesach. Anna Bogucka-Skowrońska jest prawnikiem. - To jest jej historia - mówił - pisana procesami politycznymi. Jestem fotografikiem, byłem fotoreporterem, moja historia pisana jest fotografią. Opowiadałem swoje widzenie zdarzeń i ludzi językiem fotograficznego obrazu.” - taka refleksja może być pewnym wyjaśnieniem sposobu opisu świata przez Jana Maziejuka.

Zdjęcia miały uzupełniać historię zapisaną słowem. Tymczasem dostawałam pisane odręcznie kartki. Zdanie po zdaniu rozwijałam, uzupełniając koniecznymi, moim zdaniem, kontekstami. Tak powstawał „Krekodaj (słupski)”, książka, do której wcześniej przymerzaliśmy kilka innych tytułów.

Fragmenty powstającej książki publikowałam na blogu, a WP polecała je na pierwszej stronie („Małoletni zielarze”, „Takie były narodziny”, „Słupski cud sprzed 30 lat”). Pierwsi czytelnicy - rodzina i znajomi czytali fragmenty z ciekawością. Wreszcie nadszedł czas na poważną konfrontację. Spotkaliśmy się w Starostwie z panem Zbyszkim Babiarem - Zychem. Obiecał przeczytać i... -

wpiszemy książkę do planu wydawniczego - zdecydował. Moja rola dobiegła końca. Nie wiedziałam i nie miałam wpływu na sposób zapisu mojej roli w powstaniu książki.

Wtedy przypadkiem wysłuchałam w radiowej Jedynce wywiad z panią Dominiką Buczak, dziennikarką, ghostwriterką, która pisała autobiografię prof. Lwa Starowicza „Pan od seksu”.

„Jak wygląda praca ghostwritera? - (Dziennikarka) przyznała, że wydawnictwo skontaktowało się z nią i ustaliło wszelkie szczegóły dotyczące napisania książki. - Dostałam część materiałów, które miały tworzyć tę książkę, ale później okazało się, że będzie trzeba jeszcze dopytać profesora. Zamykałam się na sesjach, wyciągałam dyktafon, potem to spisywałam, redagowałam i wysyłałam. Pan profesor wszystko oglądał na samym końcu - podkreśliła”.

Zdaniem Dominiki Buczak udział ghostwritera w powstaniu książki najczęściej utrzymywany jest w tajemnicy. - „W moim przypadku tak nie było, to jawna sprawa, dlatego mogłam tu przyjść - zauważyła.” Ponadto wydawnictwo zawarło oddzielne umowy: z nią i z autorem, ale wysokość wynagrodzenia w obu przypadkach pozostała sprawą dyskretną.

W podobny sposób powstawały popularne na rynku wydawniczym autobiografie. Jerzy Andrzejczak, autor „autobiografii” m.in. Adama Małyszka uważa, że powinien pozostać „duchem”, jednak jego nazwisko ujawnił ktoś inny.



W rozmowie z Karoliną Rożę z radiowej Jedynki skarży się, że od tego czasu otrzymuje mniej zleceń.

Przepisy prawne jednoznacznie zabraniają przekazywać prawa autorskie. „Oznacza to, że utworu (artykułu, przemówienia, książki) w Polsce nie wolno publikować pod nazwiskiem zleceniodawcy, ponieważ osobiste prawa autorskie są niezbywalne. Jediną możliwością jest przekazanie nieodpłatnie albo sprzedanie autorskich praw majątkowych do eksploataowania (produkcowania, handlowania, emisji) danego utworu (np. tekstu).”

W praktyce najczęściej bywa tak, że ghostwriter podpisuje ze zleceniodawcą tajną umowę określającą zakres zlecenia i wysokość wynagrodzenia.

Wiedzę tę posiadam, gdy książka była gotowa i jeden egzemplarz II wydania (to odrębna sprawa) przywiózł mi do domu Jan Edward Maziejuk, autor „Krekodaja (słupskiego)”. Moją rolę wydawca opisał na stronie redakcyjnej.

Książka powstała w systemie non profit i jest nie do sprzedaży.

Czesława Długoszek, Objazda



jerzy fryckowski - idzie jesus w wielkiej glorii

WIGILIA

Starat się wzrokiem przedzierać przez chmury
które tabunami wyimaginowanych koni
przemierzały niebieski szlak
czyniąc taki kurz i zamęt
że nie było widać ani jednej gwiazdy
ani jednego błysku miecza rycerzy
którzy dosiadali te rumaki pędzone wiatrem
i pożogą Narodzenia Pańskiego
wreszcie któraś ze stron
uzyskawszy chwilową przewagę
odstłoniła migające oko
zdające się drwić z ludzkich przygotowań
przeniósł ten blask na swoje oczy a z oczu na serce
i otulając je dłońmi przed zamiecią
zaniósł iskrę do domu by zapalać ostatnie świece
jakie pozostały od pogrzebu
mimo otrzymanego światła i ciepła
nie ujrzał jednak swojego odbicia w martwym oku karpia
przyobleczonym mgłą śmierci i odwiecznej tradycji
świece topniały w oczach
i tym tłumaczę wilgoć swojego spojrzenia
spojrzał na pusty talerz na którym w rytm płomienia
tańczyła nadzieja na mocne kołatanie o drzwi
ujął w dłonie opłatek
i kiedy przełamał go po raz pierwszy
w lustrze wiszącym na ścianie
grzebień zadzwonił o włosy Matki
a kiedy przełamał go po raz drugi
poczuł w dłoniach zwinięty banknot
wciśnięty dyskretnie przez Ojca
za drugim oknem
sąsiedzi przystępowali już do jedenastej potrawy
gdy on nadal spoglądał to na banknot
to na czeszącą się w lustrze Matkę
karp cierpliwie nie zmieniał swojej pozycji
stracił nawet nadzieję
że zostanie przewrócony na drugi bok
o północy dały się słyszeć kołędy

wstał od stołu
i wierząc w opowieści słyszane za młodu
udał się do stajni
przy pustym już żłobie stał osioł
jego oczy pełne były wiekowej mądrości
i pobożania dla przybysza
była nadzieja że przemówi
podszedł do żłobu i podsypał osłowi owsa
w zamian osioł przemówił
i bardzo długo
tłumaczył swój upór

LIST Z WARTY

Pani Bujarskiej

Matko
Wybacz że całując twoje dłonie
Nie mogę zdjąć
Metalowego nakrycia głowy
Jestem na służbie
Matko
Kruszę opłatek w kieszeni
Ten który przestałaś
W ocenzonej liście
Twardy stempel urzędnika
Połamał go na kilka części
Rozdałem je wierzącym
W szybki koniec zimy stulecia
Matko
Palców u nóg już nie czuję
A moja gwiazda
Jeszcze się nie zapaliła
Wiem że robisz na drutach
Ciepłe wełniane skarpety
Ale pociągi teraz tak rzadko kursują
Matko
Nie tłumacz swoich łez katarem
Jestem pod dobrą opieką
Strzelać nam jeszcze nie kazano

25.12.1981

ciąg dalszy na str. 11

wiersze najnowsze

Emilia Zimnicka, Izbica

WIGILIA

Biały śnieg, mróz srebrzysty, ciepła miękka mgła
To obraz Polskiej Wigilii
Serdecznej tęsknoty za światem dzieciństwa
Tak odległym, a jednak bliskim
Żal, że odeszli rodzice, dziadkowie
Została szara pustka
Rozgłośny krzyk ptaka wśród gęstwiny trzcin
Tak płacze moje serce
Drży ręka dzieląca opłatek
Łza cichutko spływa po policzku
Piękna choinka, biały obnus, wigilijne potrawy
Łączą mnie jeszcze żyjącymi przyjaciółmi
Tylko ten pusty talerz czekający na wędrowca
W mej wyobraźni jest przeznaczony
Dla kogoś ukochanego z zaświatów...

Aldona M. Peplińska, Motarzyno

ZANIM PAŹDZIERNIK WRZESIEŃ ZASŁONI

Jeszcze wiązanekę gryki
Chwyciły polne ramiona.

Żegnając lato na do widzenia
Kukurydza garściami gościniec wiąże
W chustę spełnienia.

A wiatr układa piknik w sadzie
Zrzucając sliwki i jabłka.

Wiankiem pachnącego miodu
Kusi do powrotów.

Przy blasku zmęczonego nieba
Usypia w fotelu spojrzenie...

A mucha częstuje się
Okruszką usychającego chleba
W spracowanej dłoni.

Jan Stanisław Smalewski, Ustka

KOCHANKA OGLĄDA SIĘ W LUSTRZE POPIAJĄC GIN

obudził ją świt powie potem że nie
spała całą noc ale jak zasnąć w pustym
łóżku jak spać gdy już w pierwszym śnie
krzyczy jego imię

jej łóżko jak samotna tratwa łódź dryfująca
po otmętach życia potrzebny jest żeglarz

do wiosł do steru ktoś kto postawi maszt
ochroni przed złym wiatrem - łóżko? przecież
mogła z nim robić to w każdym kącie domu
kochali się nawet w kuchni na parapecie
ale spokojny sen przyjdzie tylko na nim

niech sobie chrapie odwraca się plecami
byleby zawsze był gotowy jak Orion
kochanka wstaje sen jakby czekał sen nie śpi
jest obok jak ona nienawidzi to łóżko

ono jest okropne nie pościeli go nie
zmieni nawet prześcieradła jest
jak sucha chmura bez krzty wilgoci
kopnęła łóżko podchodzi do lustra
ty jasna cholero obarcza je winą to
tobie zawdzięczam podkrążone oczy ty
ujawniło żeś zmarszczkę na mym czole
pieprzyć takie lustro pluje mu w twarz
podchodzi do barku i w szklankę
nalewa sobie ginu

pieprzyć cię - słyszysz?!
łóżko jest niewinne wypija gin upada
na chłodną pościel płacze zawilgacając
poduszkę w tle dzwoni telefon
Ziuta jesteś tam zrobisz jajecznicę
przedłużyła mi się konferencja hallo...
Ziuta...

Zofia Maria Smalewska, Ustka

STARY ZAMEK

mury
zmuśnięte
wciśnięte w senny dziedziniec
zarośnięty po czapę wiekowy starzec
wypalone przez słońce resztki
szyb

skrzypiące schody
prowadzą w trwożne podwoje
zapraszają do mrocznych komnat
pożółkłe stronice
owiewa tajemnica przodków

ich życie zamyka
wspomnienie świetności
czas grzebie ostatnie szczątki
milczenie jest holdem
porusza sumienie

zabłąkany wędrowiec
wydeptuje nowe ślady
czy taki był testament zamku
nadzieja powrotu

Emilia Maraszkiewicz, Dartłowo

W BETLEJEM

stajenka wtulona w kolędę
połyka ciemny wiatr

wół mówi do osła
zatańczyłbym w niebie
gdybym tylko mógł
wcisnąć łeb w sen

nieobecna ciemna chmura
rozgnięta serce Maryi
potem płacze w środku

w dłoniach Bożego Synka
popiół i ziemia
na horyzoncie
lodowiec z krwi
stawia pierwszy krok

i to wszystko co ma się stać
stanie się w imię miłości

Elżbieta Szelałowska, Słupsk

STÓŁ

Białą nadziei
przykryty
Tęczą miłości
zastawiony.
Wyzłoceni radością
zgody
do Wigilii siadamy
celebrując chwile
jedności.
Dziękując i prosząc
O dar kolejnego
wspólnego roku.

Jan Kulasza, Strzelce Krajeńskie

DZIEŃ JAK DZIEŃ

dźwigam bryłę świata
bryłę z brzęczących monet
i kilku banknotów

większa bryła dla władzy
z naszych podatków, VAT-u
i śmierdzących śmieci
chce mi się jeszcze żyć
lecz bardziej płakać
kupiłbym worek cebuli
bo jest tania ale nie byłby
to płacz szczerzy

wolę płakać od dwudziestego piątego
każdego miesiąca do dziesiątego
dnia mojej emerytury
tego dnia zaleję robaka
niech przez te dwa tygodnie
płacze on razem ze mną

Krystyna Wojewoda, Miastko

JESIEŃ

Którą to jesień
mi życie niesie,
dni coraz krótsze
coraz dłuższe cienie
mgłami otulona ziemia
odpoczywać będzie.
Ja też spowalniam: przyjmuję
pokornym wzrokiem
srebrzyste poranki wplatające
się w moje włosy.
Pora jesienna roztacza
aurę przemijania
i wraz z kroplami perlistej
rosy, łzy moje spływają
na fioletowe wrzośy...

Teresa Ławecka, Słupsk

OCALENIE

Układasz myśli
W łódce dłoni
Płyniesz ku głębinom
Filozoficznych dogmatów
Egzystencjonalizmu

Mozolna peregrynacja
Po ciemnej toni wersów
Pozwala odkryć tajemnice słowa
Zatopionego w metaforach
Sięgasz dna

Nie zostawiasz śladów
Przeżywasz renesans doznań

Andrzej Szczepanik, Bytów

TYLKO CZASEM...

Nikt nas nie witał grudniową nocą
ślepe okna wypełniała pustka
wypalonych wewnątrz pełnych nieprzyjaznych
duchów niemieckiego pogorzeliśka
tajemniczy poblask gazowych latami
czynił z nas wędrujące zjawy
błądzące koleinami ulic
szukając innego domu szliśmy donikąd
poganiani ciemnością umarłych ruin
thumiliśmy zamiar ucieczki
do radomszczańskiej sielskości

lata minionej dojrzałości zmieniły życie
pośród krajobrazowego przepychu
zielonoblękitnych horyzontów
tej obiecanej ziemi
wyciszyły wolę powrotu
czasem tylko szarpiąc serce tęsknotą
do moich źródeł pradawnych
gdzie drzewa ziemia i drogi
chodziły ze mną na rozstaje

Daniel Nowotczyński, Słupsk

PER ASPERA AD ASPERA

Pochylam się nad zamkniętą przestrzenią
Zniewoloną w jednym oku
Które rejestruje
Smutny fenomen człowieczeństwa
Wiedząc, że wynik będzie ten sam
Zatopiony w oddali
Od bezkresnej masy
Co nie drgnęła
Pod naporem stonnych kropel lamusa
Które wciąż drążą i drążą
Więc gdzie jesteś Niobe?
By rozerwać zblakany
Tok myśli oniemiałych
Spływających po policzkach
Jednym wartkim strumieniem
A może to jednak tylko sen?

Anna Karwowska, Dobieszewko

ZEGAR ZERWIE WSKAZÓWKI

Gdy zamkną się wszystkie
kartki w „Księdze życia”
zegar zerwie wskazówki
przestanie odmierzać czas
serce pęknie jak tynk na ścianie
nad głową zawiśnie czarna noc
wtedy zejść pod poduszkę ziemi
Notariusz - Bóg
zamknie testament ziemski
i to wszystko co powinno
w człowieku się skończyć,
bo na tej ziemi dla każdego jest
tylko jedno dziedzictwo - śmierć
Kiedyś może przez szczeliny kamieni
obudzę się, zrobię krok po ziemi
krzyknę - wróciłam kochani!
Może - ale nie wiem

Irena Peszkin-Bobińska, Koszalin

SĄ TAKIE ZDROJE

Gdyby mówić umiały
te wiekowe drzewa i zdroje
uszy nasze
usłyszałyby historie niestychane.
Żyją jeszcze świadkowie
dziejów całkiem niedawnych
w Borkowie malowniczym.
Istnieją świadectwa

niepojętych wydarzeń.
Żyją płody nieludzkich poczynañ.

Gdyby mówić umiały te mury...
One wiele słyszały i widziały
w dwudziestowiecznych latach
smutnych i ponurych.

A nam wciąż uwierzyć trudno
w istnienie manufaktur rasy szczególnej
I fabryk - krańcowo różnych.

Jakie jeszcze tajemnice
kryje ta ziemia urokliwa,
co daje zdrowie i życie?

Czy dowiemy się kiedykolwiek...
Czy pojąć zdołamy...
Dlaczego człowiek
tak bardzo nie bał się Boga
I w jego imię tworzył
najstraszniejsze traumy?

Grzegorz Chwieduk, Kępice

to co nas łączy
jest ciągle czymś zachwycającym

moje życie wydaje się
wypełnione po brzegi
jego rytm wyznacza twój głos
tak dobrze zapamiętany

oswoiłem się
z krokami na schodach
albo oddechem
gdy leżysz obok
w głębokim śnie

postawiłem na ciebie
na taką kobietę

nie pomyliłem się

Jan Zygmunt Prusiński, Ustka

JEDENAŚCIE IMION SIÓSTR

Tam jest tak dziko
poczułem się jakbym był u siebie
skaleczony urokiem nad Małą Iną
specyficzna cisza - tu nikt się
nie kłóci i nikt nie jest ważny.
Na wzniesieniu jedenaście
królewskich topól a każda z nich
ma swoje imię - trzeba je odgadnąć.

Ta mała rzeczka
płynie w mojej książce
gdybyś była przy mnie Ewo
podobnie byś odczuła
jej niezauważalny ruch.

W niej baśnie się rodzą
a drzew tyle że nie mogłem
zliczyć po obu brzegach -
to mój świat z dala od ludzi
bym mógł pomyśleć o życiu
i o materii z której powstałem
by żyć z drzewami
by żyć w odkupieniu

z ludzkimi grzechami
niżej i wyżej
trącać liście w pozdrowieniach
na dzień dobry i na do widzenia.

A jedenaście sióstr
niczym księżniczki
zanuciły mi pieśń powrotu.

I wrócę z książką „W ogrodzie Norwida”

i będę czytał im treści w niej zawarte
o samoczynności i samotności
w oczach Stwórcy
-poniekąd przyprowadził mnie tu.

4.11.2014 Kluczewo - Stargard
Wtorek 5:35

Jadwiga Michalak, Naćmierz

KORZENIE

rośliny zapuszczają korzenie
umacniają się w ziemi głęboko
można je przesadzać do pewnego czasu
wrastamy jak rośliny w krajobraz dzieciństwa
wracamy w myślach choć z drugiej półkuli

tam się zaczęło życie
na tej wsi mocniejszy nieba lazur
i słońce promieniami
obejmuje całuje jak matka

sny i marzenia malują obrazy
utrudzeni wędrowcy
z bocianim gniazdem jaskółką
wracają z wiosenną nadzieją
by dotknąć tej ziemi dorodnej
zachłystnąć się czystym powietrzem
napić się wody ze źródła

na całym świecie tak nie pachnie bez
i nie ma piękniejszych drzew
co skrywają w szumie swych liści
niezwykłe przodków historie

Henryka Jurałowicz-Kurzydło, Słupsk

BOŻE NARODZENIE

Jest taka smutku granica
Za którą się radość jasna zaczyna
I była taka czerń nocy
Co w jasność się przemieniła
Jest taka nadzieja
Nad którą nic nie jest silniejsze
I jest miłość co przyszła aż z nieba
W noc mroźną grudniową
A gwiazda jej drogę znała
Wyciągnęła ta miłość rączką
Do ludzi samotnych i biednych
I chociaż w stajence zimno żłób twardy
Ona tę ziemię błogosławiła

Zenon Marian Lasoń, Słupsk

JUŻ KOŁĘDA

Spójrz jak drzewa puch biały otulił
Dzieci krzyczą za oknem radości
Piesek z zimna przed budą się skulił
A gospodarz już czeka na gości.

Spójrz na gwiazdę błyszczącą na niebie
Na szlak Królów przybyłych ze wschodu
Na tę radość idącą do ciebie
Na nadzieje wszystkich narodów.

Już kołęda rozbrzmiewa wesoło
I choinki w oknach migocą
Życzeń moc wszystkim ślemy wokoło
Na pasterkę pójdziemy dziś nocą.

Bo narodził się Pan...

Jan Wiśniewski, Koszalin

BOŻE NARODZENIE

Prorocy nadejście Miłosierdzia głosili
Czas płynął
Zwątpienie przyćmiewało nadzieję

I oto
gdy wreszcie Słowo stało się Ciałem
gdy Miłosierdzie zstąpiło
spersonifikowane
(aby być wśród nas
i wskazać Drogę
aby męką przebłagać gniew
za czyny moje
i brata mego
i ojca
i syna)
wzgardziło tronem
i sceną wśród braw

Oto grota stajenna
i siano w żłóbku
Oto Maryja
w chuście tuląca Dziecię
Nieboska sceneria ucłowieczenia Bóstwa
I tylko gwiazda drogowskazem

Dziś
nie tylko dzieci pierwszej gwiazdy wypatniają
by zasiąść przy stole opłatek dzieląc
Dziś kołęda ucisza serca
i myśli kieruje tam
dokąd drogę Miłosierdzie otworzyło
poprzez cierpienie
i śmierć
i Zmartwychwstanie

Usta śpiewają lulajże lulaj
po chwili gloria płynie w dal
Gloria in exelsis
Dzięki Synowi

Bo oto mogła powstać pieśń
wróc Synu wróc z daleka

Wróc
Ojciec czeka

Teresa Nowak, Łupawa

BOWARY XXI

Tipsovymi pazurami graweruje codzienność
Rachunków i opłat
Błyskotki - namiastką luksusu

Świat wymarzonego dobrobytu
Zna -
Z perspektywy ciucholandu

Cyrkoniove kolczyki w ciele
Zaspokajają potrzebę indywidualizmu

Współczesna Bowary
Zawsze ma Kogoś
Po krótkim seksie w porze lunchu
Że nie starczyło czasu na czułe słowa

Bowary XXI wieku nie czeka
Nie tonie we łzach
Doskonale obojętna
Gdy
Książkę w kabrioletcie pośpiesznie
Odjeżdża w siną dal
Zajęty robieniem pieniędzy
Wygodnie usadowiony w rodzinnej sielance

Współczesna Bowary
Poduszkę wypełnia łzami
W samotne noce

Anna Boguszewska, Słupsk

MAGICZNY CZAS WIGILII

magiczny czas wigilii
grudniowy dzień
w bielszym odcieniu bieli
blask pierwszej gwiazdki
poinsecja przybrała kolor
szkarłatnej czerwieni
na zielonej magicznej choince
błyszczą gwiazda betlejemka

w chrześcijańskiej tradycji
święty opłatek
wypowiedziane magiczne życzenia
dwanaście wigilijnych potraw

pełni wiary i radości
świętujemy narodzenie pańskie
kościelne dzwony
wzywają wiemych na pasterkę

w starych murach kościoła
anielskie chóry śpiewają
„cicha noc święta noc
pokój niesie ludziom wszem”

WIGILIA BEZ...

Agnieszka G.

Przy operacyjnym stole
nikt nie dzieli się opłatkiem
a puste miejsce
nie na obcego
lecz na cudotwórcę czeka
ukłękli wszyscy
aby nie pić z moich ust
ordynator poprosił skalpel
lekarz dyżurny siostrę do tańca

już po wszystkim
dochodzi północ
wszyscy czekają
aż przemówię ludzkim głosem

TREN XXVI

Spójrz matko, zimną gwiazdę wigilia zapala,
U sąsiadów za ścianą łamią się opłatki,
Tylko mój ciągle cały, bez rysy i gładki
Wspomnienie nagłej śmierci swą bielą wyrzwała.

Z moich oczu do barszczu proszą stone płatki,
A na jego dnie milczy pusta, biała sala,
Widzę teraz dokładnie, to jest biel szpitala
Biała jak ta wigilia, biedna brakiem Matki.

I milczy również ojciec, twoich wspomnień
łowca,
Zadumany nad życiem mądrością człowieka,
On też jak ja nie ruszył kupnego makowca.

Na chwilę nasze myśli wracają z daleka,
Darmo tego samego czekamy wędrowca,
A z nami do północy pusty talerz czeka.

KOLEDA

Rozlega się śpiew koledy,
pusty talerz łśni na stole,
gdzieś za ścianą ich komendy
ręka sięga po pistolet.

To komendant posterunku
między mędrców chce wynuszać
i w galowym swym rynsztunku
będzie witał dziś Jezusa.
Mirra złoto i kadzidło
między nimi kauczuk pały,
płacze w stajni wszelkie bydło,
płacze także Jezus mały.

Nad stajenką nocka głucha,
mróz na szybach kwiaty ścina.
„Jak Jezuska tu przesłuchac”
- myśli sobie głupi gliniarz.

„Imię ojca, imię matki,
potem data urodzenia,
no i wreszcie na ostatku,
czy należy do podziemia?”

Ciągle milczy Noworodek,
tylko palce w buzię wkłada.
Chciałby gliniarz wziąć Go głodem,
lecz przy mędracach nie wypada.



Może by się imał głodu,
ale pamięć szepcze szczerze:
„Przecież mędrzy są ze wschodu,
a już oni wiedzą dobrze.

Może jednak lepiej ulec,
wszak i gwiazda zwiastowała”
Odszedł gliniarz z wielkim bólem,
a Dziecina zapłakata.

Po co Dziecku wszelkie złoto,
nie potrzeba Mu kadzidła,
znów obejdzie świat piechotą,
bo Mu ludzkość nie obrzydła.

Idzie Jezus w wielkiej glorii,
wnosi światło w każdą chatę.
Gliniarz nie wszedł do historii,
w jego dłoniach pękł opłatek.

LIST WIGILIJNY OD MATKI

Syneczku, zapach siana gaśnie pod obrusem,
Wciąż omijając Boga modlisz się o matkę,
Ja za twoje zwątpienie numienię się muszę,
Twoje grzeszne modlitwy przyjmować ukradkiem.

Synku, na nic twe rany, krwawiące kolana.
Bóg nie jest w krwi i winie, choć myślą tak
ludzie,
Musiałam odejść młodo, zostałam wybrana
Uczyc cię dorosłości i pozbawiać złudzeń.

Synku, podziel opłatek, rodzina już czeka,
Urosłeś mi tak nagle bez mojej opieki,
Wiem, że nosisz mój obraz pod mokrą powieką,
Też śnię jak parzysz kawę, jak niesiesz mi leki.

Synku, pachnie choinka, jest ciepło i jasno,
Mróz skrzypi pod butami, w oknie srebrna
cisza.
Czemu nie widzę unuków? Powiedz, jak
mam zasnąć
I wrócić tak cichutko, aby Bóg nie słyszał?

KOLEDA WSPÓŁCZESNA

Już zapaliło Gwiazdę milczeniem,
żadna jej chmura zakryć nie może.
Świeca do ściany przyparła cienie,
opłatek w ustach twardy jak orzech.
W prośbie do Boga tysiące dłoni,
mokre od płaczu matczyne ręce.
Z trwogą, że może ktoś w drzwi zadzwonić,
oprócz talerza zając coś więcej.
Kirem na śniegu wrony i Wronki
celują dziobem prosto w twą kuchnię.
W oczach łzy wiszą długie jak splotki,
pełne są płaczu, który wybuchnie.
Do Ciebie Boże, pasterzu śmiały
stada owieczek i garstki wilków,
byś doprowadził do wiecznej chwaly
i do pasterek choć jeszcze kilku.
Widelec dzwoni o dno talerza.
Usta zamilkły, oczy pytają,
jaki kalendarz będzie odmierzał
wszystkie te lata, które czekają.
Prowadź nas Boże na swoją łaskę,
Ty jeden zdołasz podnieść nas z kolan.
Zapal nadzieją świąteczną Gwiazdkę,
Ty jeden
zdołasz podnieść nas z kolan.

wszystkie cząsteczki krzyku



Najnowsza powieść pt. „Szum” Magdaleny Tulli, wbrew powszechnym sądom, nie może zostać uznana za autobiografię, ale za powieść autobiograficzną. Nie mając wyraźnych dowodów na to, że przedstawione wydarzenia są rzeczywiste, musimy potraktować je jako fikcję

Literacką kreacją są zatem kolejne odsłony przedstawionych przez nią problemów. Autorka tekstu nakłada na siebie dwie ramy interpretacyjne: pasmo znaczącego krzyku oraz pogłębiający się problem wyobcowania jednostki. Te dwie opowieści prowadzi Tulli równolegle, dlatego czytelnik w taki sam sposób powinien poddać ten tekst interpretacji.

Krzyk utożsamia Tulli z mową, która staje się dla niej pierwiastkiem ocalającym. Mowa przezwyzięża „martwość” świata, dlatego tak często bohaterka „Szumu” mówi do siebie. Tak naprawdę autorka tekstu zbudowała własną historię krzyku. Wykorzystała do tego teorię lustrzanego odbicia. („Krzyku, który wyrwał się z jej gardła, być może nie usłyszała wcale (...) jej własny krzyk zagłuszał ludzkie głosy tuż obok. Mam w uszach ten krzyk. Słyszę go w środku siebie, jakbym to ja krzyczała.”) We fragmencie możemy zauważyć synestezyjne właściwości „odbicia krzyku”, ale także wielokrotność, powielanie jego funkcji w nieskończoność. Taka droga interpretacji prowadzi nas do stwierdzenia, że krzyk u Tulli wiąże się z życiem i jednocześnie ze śmiercią. Bohaterka nie może żyć bez niego, dlatego krzyk przenosi się do jej wnętrza. Tulli tworzy coś w rodzaju wewnętrznej filozofii krzyku, dźwięku, który ma w sobie skrywać szczęście odkrywane w bardziej sprzyjających warunkach.

Autorka tekstu każe nam czytać swój utwór ze szczególnym uwzględnieniem fenomenu krzyku, który zaszczebia z „Błaszanego bębenka” Grassa. Bohaterami obu tekstów są dzieci. O ile jednak bohater tekstu noblisty nie chce dorosnąć i z pełną świadomością hamuje ten proces, o tyle bohaterka „Szumu” zostaje zmuszona do przyspieszenia procesu dojrzewania. Jest jeszcze kilka innych różnic. Bohaterka zgadza się na kształtowanie swojego losu przez osoby z zewnątrz, Oskar buntuje się przeciw temu. Bohater nie mówi, wybija rytm na bębenku, a krzykiem rozbija szyby kościoła. Grass mówi o niedoskonałości słowa, natomiast Tulli, której bohaterka chce wykrzyczeć swoje złości, mówi o niedoskonałości milczenia. W myśl komparatystki literackiej jej utwór stanowi polemikę z wcześniejszym tekstem Grassa, a przynajmniej z niektórymi

poruszonymi w „Błaszanym bębenku” problemami.

Magdalena Tulli kładzie nacisk na dwuaspektowy wymiar mowy. Według niej mowa ocala właśnie dlatego, że jest treścią a nie samą formą. Gdy mówienie okazuje się być tylko wykorzystaniem kalki, szablonu słownego, mowa traci swoje znaczenie („Otwierałam usta, aby jej coś tłumaczyć, ale nie chciała wiedzieć. (...) Bez namysłu dawała pierwszeństwo formie, bo tylko formą mogła rozporządzać. Rozporządzania treścią wyrzekła się dawno temu, życie ją do tego zmusiło, przynosząc treści, na które bezradność była jedyną możliwą odpowiedzią”). W przytoczonym fragmencie widzimy, że bohaterka, której opowieść została przedstawiona w postaci strumienia świadomości, uważa słowo za odzwierciedlenie swoich uczuć. W słowie widzi sens, dlatego krzyczy, mówi, tłumaczy, stara się wyrazić głębsze jego znaczenie, napełnić je wartością. W tym wypadku przyjęta przez znieczulone otoczenie forma zabijałaby, czy wręcz rozpuszczałaby samą treść, czyli nośnik znaczenia.

Druga wskazówka dana nam przez Tulli dotyczy sensu wnoszonego do naszego prywatnego świata przez otaczającą



Fot. Znak Literanova / materiały prasowe

nas rzeczywistość. Bowiem, według głównej bohaterki książki, wszystko, co nas otacza, ma sens. Należy tylko nauczyć się z niego czerpać, łącząc ze sobą ślady znaków świata. „Wyrzekanie się” tego sensu jest nie tylko wyrażeniem bierności wobec świata, ale odrzuceniem samego siebie. Bohaterka zaznacza, że tylko pozornie znajdujemy się w oderwaniu od otaczających nas realiów. Tak naprawdę jesteśmy ich częścią składową.

Na omawiane zagadnienie nałożone zostało kolejne. W tekście Tulli pojawia się problem alienacji jednostki wobec tłum („Im bardziej chciałam zostać usłyszana, tym bardziej zagłuszałam samą siebie”). Niektórzy z przedstawionych bohaterów mówią „obcym językiem”, nieznanym dla otoczenia. Poza tym sama bohaterka została przedstawiona jako jednostka, która musi zostać wdrożona w proces postępującego kolektywizmu. Autorka „Szumu” wielokrotnie zastanawia się, dlaczego nie można być sobą w pełni, wypowiedzieć siebie jako całości? Bohaterka postrzega siebie jako niekompletną. Widzi siebie w wypowiedzianej przez innych „skróconej wersji”, postrzega swoje „ja” we fragmentach, które charakteryzują w chwilach dojścia do głosu. Te strzępki opinii, pochodzące

jakby z koszmarnego snu, mają stanowić rzekomą prawdę o niej. Niestety, ta tożsamość jest jednak nieprawdziwa. Nie otrzymując szansy na „zbędne powtórzenia”, nie jest w stanie odczytać w sposób skuteczny i zinterpretować z innego punktu widzenia prawdy zawieszanej w próżni tego świata. Nie może także pokusić się o skonkretyzowanie swojego miejsca w otaczającej ją przestrzeni, bowiem wszystko ma istnieć „bez wątpliwych domysłów”. Jednak to ktoś inny, niż ona, „narzuca rygory dotyczące hałasu” („nie umiałam trafić w wąziutkie pasmo właściwej głośności, wciśnięte między zakazane zakresy hałasów a głuchą ciszę”). Bohaterka jest reprezentantką innego dźwięku niż pozostali. Jej brzmienie jest niedozwolone, zatem powinna ona właściwie nie istnieć.

Stopniowe wyciszenie jest głównym zadaniem bohaterki: „(...) krzyczałam, straciwszy resztkę nadziei (...) - bardzo cię proszę tylko bez wrzasków - odpowiedziała szeptem (...). Wypowiedziałam swoją kwestię ciszej o ton. (...) - jeszcze pół tonu ciszej - poprosiłam szeptem, kładąc palec na ustach”. To uciszanie się jest rytmicznym i regularnym zatapianiem się w sobie, „uwsteczaniem szczęścia”, redukowaniem go do niezbędnego minimum, czyli do smutku. Jest to uśmiercanie radości, inicjowanie w niej samej procesu rozpleniania się martwoty („Pierwszym odejściem (...)”), była wyprowadzka tej dziewczynki. (...) Wołałaby przecież takie wrzaski i śpiewy, tupanie i skakanie. (...) Właśnie w ten sposób przedwcześnie utraciłam nieśmiertelność w ciągu jednego popołudnia”). Zamieszkanie w tym wielkim „obozie koncentracyjnym”, gdzie kluczem do jego zrozumienia są reguły, przepisy formalne, równa się uszczupleniu wewnętrznej energii, zagłuszeniu szumu i akceptacji ciszy, która nie wyraża niczego, ani radości ani smutku czy bólu.

Zakończenie książki, potwierdza tylko wyłożoną na samym początku tezę. W „Sądzie Najniższym”, czyli w czyścisku umarli przechodzą proces „wybaczenia samym sobie”. O ludziach i zachodzących w nich procesach dojrzewania do bycia sobą pisze Tulli: „Żebyśmy mogli przebaczyć, (...) ktoś w nas musi umrzeć. (...) Ofiara”. Mówiąc o „lepszej skróconej wersji” krzyku bohaterki, otaczający ją ludzie mówili o człowieku zredukowanym do podstawowych funkcji życiowych, o istocie pomniejszonej o ludzkie wartości. Opisywane przez nią osoby budowały skróconą wersję świata i człowieka, decydując się jednocześnie na pozostawienie w sobie ofiary. Ci ludzie tworzyli „człowieka obok człowieka”, czyli osobę niepełną.

Autorka pragnie nam udowodnić, że nasze życie nie może zostać przekształcone w cykl zwykłych matematycznych operacji, dlatego parokrotnie przedstawia sytuacje, w których wybrane osoby są pytane o wynik mnożenia podanych liczb. Życie nie jest jednak przewidywalne i logiczne. Rządzi nim niewyjaśniony przypadek. Jeżeli jednak przyjmujemy zasady matematyczne za pewnik i uznamy je za gwarancję naszego istnienia, wtedy zniknie wszystko to, co ma cieszyć i zadziwiać, a życie okaże się „martwe”. Dlatego bohaterka tekstu nie chce przebywać w tym uśpieniu, a tym bardziej nie może zostać wpisana w szereg logicznych operacji, których, paradoksalnie, nie rozumie. Bo akceptacja świata polega na przyjęciu go takim, jakim jest naprawdę. Jeżeli stworzymy sztuczną rzeczywistość, to zabijemy jej realność, podamy mu truciznę, która będzie sączyć się bardzo powoli i zabijać również nas, nas jako integralną część tego świata. Tulli doskonale zilustrowała ten proces, przedstawiając chorą ciotkę dziewczynki (choć ciotką nigdy jej nie nazywa, tylko „jego matką”): „Jakiś problem z morfologią. (...) Za dużo ciałek białych, za mało czerwonych. To wyniki badań chorowały,

nie ona”. Wcielenie „martwych” reguł nadmiernej logiczności w „żywe życie” sprawiło, że osoba, o której mówi bohaterka, żyje jakby obok życia, w jakiejś obojętnej znaczeniowo przestrzeni, jest z punktu widzenia semantyki po prostu pusta. Dlatego nie zwracamy uwagi na jej umieranie, lecz na sam proces, który jej dotyczy. W tym wypadku rozumiemy bardziej przedstawioną „chorobę krwi”, niż samego człowieka.

Z człowiekiem związana została bardzo mocno sama opowieść. W tekście historia wielokrotnie powraca w najmniej oczekiwanych momentach. Swoją historię Tulli zbudowała zatem na fundamentach ludzkiej pamięci. Jest to świat wspomnień pośrednio danych poprzez los jej matki i jej siostry. Świat bohaterki nie jest jednak tak jednoznaczny. Aby skontaktować się z umartwą matką, kupuje książkę telefoniczną z 1938 roku, by tam znaleźć do niej numer telefonu. Tam też ją znajduje. Czas jej matki zatrzymał się przed rozpoczęciem II wojny światowej. Wszystko, co nastąpiło później, spowodowało jej wewnętrzny rozpad, powolne „rozsypywanie się”, które przeniosło się na jej córkę, czyli główną bohaterkę „Szumu”. Jest



jeszcze jeden sposób wykorzystany przez Tulli w tekście podczas powracania do przeszłości. Opowieść ożywa na zdjęciach („Na innej etażerze stoi album, w którym mieszka Peter”). Autorka tekstu tworzy fenomen miejsca, który łączy z odległą historią. Peter mieszka na zdjęciu, on tam jest realnie i niezaprzeczalnie. Świat według Tulli to rzeczywistość, która spełnia się poprzez jej słowne wypowiedzenie.

W ten sposób Tulli umocowała historię. Sama opowieść nie trzyma się jakoś głównej bohaterki. Owszem, opowiada ona o dzieciństwie, otrzymujemy o niej szczerą informację. Wszystko to się jednak rozplywa, rozchodzi jakby w próżni. Bo widzimy ją jako osobę dojrzałą od samego początku, kobietę, która przeży-

wa jedynie niemożliwość własnej artykulacji. Jaką funkcję wobec niej pełni zatem historia? Toksyczne relacje zbudowane w jej rodzinie są odgłosem przebrzmiałej już historii. Stanowią one właściwie jej echo, które nieustannie powraca, a okazuje się być jedynie „odgłosem odgłosu”. Dawne wspomnienia tworzą widoczne reperkusje w świecie aktualnym, powracając z różnym natężeniem i w nieoczekiwanych konfiguracjach. Świat obozowy nadal wchodzi swoimi „brudnymi butami” w niewinny i radosny świat dziecka i żąda od bohaterki tego, aby uwierzyła, że on istnieje (I jest to kolejna cecha wspólna z „Błaszany bębenkiem”). W rezultacie całe jej życie staje się ogromnym obozem koncentracyjnym („mój dom, po którym w martwej ciszy waleśali się esesmani, nie przeze mnie wpuszczeni do środka. I w którym byłem nikiem, powietrzem”). Bohaterkę zabija toksyczna atmosfera. Im bardziej inni będą żyć, tym bardziej ona będzie odchodzić, rozpytywać się w powietrzu.

„Szum” jest książką poświęconą życiu, a dokładniej mówiąc, ożywianiu życia, przywracaniu mu sensu odebranego przez zawiłą opowieść z przeszłości. Tylko w szumie, paradoksalnie, można usłyszeć całkiem inną, bo wyzwalającą ciszę, która jest dramatycznym wołaniem o pomoc.

Anna Łozowska-Patynowska, Słupsk

Magdalena Tulli, „Szum”, Społeczny Instytut Wydawniczy Znak, Kraków 2014.



eugenia ananiewicz - kamienie życia

Już nie mam siły
bardzo dużego ptaka
by nieść kamienie życia
nie narzekać, nie płakać.

LOS SIEROT

Szczęście rodzinne pękło
jak bańka mydlana
zostały dwie sierotki
z nimi tylko mama.

Ziemia nie odda krwi
którą wypła
choćby nie wiem jak
rodzina prosiła.

Tylko fartuszek mamy
i spracowane ręce
ocierać bzy mogły
i tulić główki dziecięce.

Ochrzcił je sam i pożegnał
zła dola na zachód wygnana
tu przyjęła je Wieprza
i dobrze wychowała.

Głód z braku ojca
nie do ugaszenia
traumy sierociej
życie nie zmienia.

Żyć trzeba było
inaczej co dnia
ból z czasem odpłynął
by szukać dna.

ŚWIĘTO ZADUMY

Cmentarz
dom zmarłych
cmentarz
świat zmarłych
i żywych.

Modliłam się za tych
co pozwolili
prowadzić się Bogu za rękę.
Nie ma ucieczki od lęku
choćby odzywa się
potrzeba nieprzemijania.

A śmierć kosi
co rusz z listy znajomych
odfajkuję
kolejne osoby.

Żal dusi
Trudno oddychać.
Co po śmierci?
Zostawiasz wszystko
zabierasz tylko duszę
i kruszyny dobrych uczynków.

Zadziwiał nas dobroć Boga
Jego miłość do człowieka
Nie pozwoli mu
zapomnieć o nim.

Przebacza
największym grzesznikom
jeśli się upokorzą.

Człowiek boi się człowieka
ale czasem Boga się nie boi.
Żywym zostaje chwila
co nie mieści się w słowie.
Jest milczeniem.

JUŻ JEST

Na zielonej murawie
złota Pani Jesień
już układa dywan
w kolorowy deseń.

Na spadochronach
lekką lecą liście
jakby chciały odpocząć
po spełnionej misji.

Wiatr miesza im szyki.
Kotłuje, przewraca
wciska w zakamarki
bardzo przeszkadza.

Biednemu zawsze
wiatr wieje w oczy
czy to mamy listek
czy człowiek.

Pod powiekami zatrzymam
cudne barwy jesieni
nawet złośliwy wiatr
tego nie zmieni.

TAK BYWA

Mój zegar życia
ciągle jeszcze tyka
tylko coraz częściej
z rytmu się wymyka.

Nakręcona śrubą miłości
serca sprężyna
równomiernie bić
wciąż zapomina

Tak z dnia na dzień
z sił opadam
mimo że posiłki
regulamie jadam.

Mało co robię
w łóżku odpoczywam
a siły jak na złość
ubywa i ubywa.

Wola jakaś krucha
własna nędza w miłości
ginie konkret czynu
to oznaka starości.

WIERSZE

cena kariery



Zarozumiwały, pewny siebie kosmopolita, dumny z tego, że wyrwał się z zaściankowości polskiej tradycji, złamał stereotyp pegeerowca. Wolny i nieskrępowany światowiec, smakujący życia. Zadowolony z siebie. Przyglądał się swojemu odbiciu w maminym lustrze i zobaczył siebie takim, jakim widziała go matka i ojciec

Nerwowo spacerował po pokoju, czekając z niecierpliwością na brata, który miał lada moment dojechać. Już dawno umówili się na to spotkanie w mieszkaniu rodziców. Od lat stało puste. I wreszcie musieli coś z nim zrobić. Nie był tu od śmierci i pogrzebu matki. Nie miał czasu ani chęci. Zresztą, cóż za wartość przedstawiało to mieszkanie w bloku popegeerowskim. Małe, ciasne dwa pokoje, kuchenka i malutka łazienka. Był trochę ciekawy, co chce z tym spadkiem zrobić Jurek. - A niech robi, co chce! Sprzedaje, wynajmuje, czy co tam... Byle szybciej to załatwić.

Kiedyś to było coś. Tu się z bratem urodzili i tu wychowali. W tutejszej szkole rozpoczęli swoją edukację a potem kolejno wybywali w świat. Najpierw brat do Torunia na uniwersytet, potem on do Poznania. Wpadali tu jeszcze w czasie przerw w nauce na kilka dni, częściej dzwoniли, ale już wtedy perspektywy życia na wsi były mizerne i raczej nie było szans, żeby tu wrócić. Najczęściej spotykali się w czasie Świąt Bożego Narodzenia. Ale nie czuje sentymentu do tego miejsca. Do miejsc w ogóle się nie przywiązuje. Do ludzi? Chyba też nie... Do rodziny? Dobrze jest od czasu do czasu pomyśleć, że jest ktoś, kto otworzy ci drzwi i powie: „wejdz”! Póki żyli rodzice... myślał o tym domu, ale teraz? Dom to...

OPOWIADANIE

nie za bardzo potrafił zdefiniować. On i brat! No i rodzina brata. Ani to podwórko, ani mieszkanie, ani koledzy. To było miejsce rodziców, dom rodziców.

Obaj, on i Jurek, zdolni, przedsiębiorczy, pomysłowi, rzutcy, nie bojący się wyzwań, jeszcze w czasie studiów zaplanowali swoją przyszłość daleko od tej wsi. Rodzice nie mieli nic przeciwko. A raczej zachęcali, bo nie wolno „zmarnować talentów”. Otwarcie Polski na Europę dawało niespotykaną szansę. I obaj to wykorzystali.

Z dyplomem inżynierskim wyjechał na zachód. Pracował i uczył się. Wrodzona łatwość przyswajania sobie języka, chłopski upór w dążeniu do celu, zaangażowanie w realizację powierzonych mu zadań, bez względu na ich rangę, szybko zostały dostrzeżone i docenione przez pracodawcę. Pryncypał pomógł mu i wkrótce uzyskał certyfikat swojego dyplomu inżynierskiego. Teraz stoi na czele firmy polsko-norweskiej eksportującej części samochodowe i dobrze mu idzie. Zwiedził prawie cały świat. Nie założył rodziny. Jest kawalerem i dobrze mu z tym. Dyspozycyjny, niezawodny, zawsze do

bratanicy Michaliny, uśmiechnął się. Była ulubienicą i pieszczołą dziadków. Też ją lubił i obsypywał prezentami z każdego miejsca, w którym udało mu się być.

Niecierpliwie zerknął na zegarek. Wreszcie chwycił komórkę i wybrał numer do brata.

- Za pół godziny będę - brat rozłączył się.

Przeszedł do maleńkiej kuchenki. W kredensie stały czyste szklanki z malowanymi niebieskimi kwiatkami, kilka talerzy z różnych kompletów i garnki, puste ale wyszorowane i czyste. Dopiero teraz zastanowił się, kto utrzymuje tu porządek? Wszystkie meble bez śladu kurzu, firanki w oknach też są czystutkie. W mieszkaniu w ogóle nie ma śladu kurzu. Zastanowiło go to. W kranie była woda. Dotknął kontaktu i zapaliła się żarówka w starym kloszu. Energia nie została odcięta? Usiadł zdumiony.

- Czy tu ktoś mieszka?

Ze szklanką wody przeszedł do sypialni, a ongiś pokoju, który dzielił z bratem. Stało tu łóżko z materacem pozbawione pościeli, ale nakryte kapą. Pamiętał tę kapę. W rogu stała toaletka mamy. Tu też nie było śladu kurzu. Przypomniał sobie, że brat mu mówił o sąsiadce, która opiekuje się mieszkaniem. Pewnie to ta, co dała mu klucze. Otworzył szufladę. Była pusta. W drugiej natomiast znalazł trzy pakunczki przewiązane kunsztownie czerwonymi wyblakłymi wstążeczkami. Patrzył na nie z rozżalaniem, gdy rozległo się pukanie... Wyszedł do korytarza i otworzył drzwi. To sąsiadka:

- Przyniosłam herbatę i czajnik, bo nie ma gazu.

Podawała mu tacę. Machinalnie wziął z jej rąk i już się miał odwrócić, ale w pół kroku zawahał się.

- Proszę mi powiedzieć, bo nic nie rozumiem. Tu jest czysto i stoją jeszcze meble, a przecież tu nikt nie mieszka od trzech lat? - chciał się dowiedzieć, ale nie bardzo wiedział czego. Odczuwał dziwny niepokój i nie rozumiał tego stanu uczuć.

- Ja się tym mieszkaniem opiekuję na życzenie pana matki i pańskiego brata. On mi co miesiąc przysyła pieniądze na wszelkie opłaty i parę groszy dla mnie. Nieduże one, ale mnie się każdy grosz przydaje, bo emerytura niewysoka. Teraz to nie wiem, bo pana brat dzwonił, że wreszcie będziecie porządkować sprawy po matce - westchnęła. - Potem przyniosę pościel. Wszystko jest u mnie, uprane i wyprasowane. Kobięcina stała na progu nie bardzo wiedząc, co zrobić. Wejść, czy skończyć tę rozmowę.

Stał zamyślony, a w głowie kotłowały mu się myśli. No tak. Nie miał czasu, żeby o tym porozmawiać po pogrzebie, a potem tak schodziło. A brat niewiele mu mówił. Kobieta zamknęła za sobą drzwi. Wszedł do kuchni. Postawił czajnik, nalał wody. Metodycznie, jak na kawalera przystało, włączył przewód do sieci. Zajrzał do małego pojemnika metalowego. Herbata w saszetkach. W drugim kawa, cukier w małej ozdobnej cukierniczce. Zasypał kawę do filiżanki w kwiatki

- ulubionej matki. Woda się zagotowała i zalał kawę. Postędził, wbrew swoim nawykom. Potrzebował czegoś energetycznego. Z filiżanką w rękę wrócił do sypialni i przykucnął przy szufladzie. Gapił się w pakunczki, nie mając odwagi po nie sięgnąć. Łapczywie pił napój, chociaż mu nie smakował. Wreszcie sięgnął po najmniejsze zawiniątko. Obracał w rękę. Ostrożnie rozwiązał kokardkę, rozwinął. Wysypały się



usług. Niezastąpiony. Kariera - z zapyziałego podwórka pegeerowskiego na stanowisko dyrektora w niedużej, ale prężnej firmie handlowo-usługowej z ambicjami. I to on właśnie jest motorem rozwoju.

Bratu też się powiodło. Prowadzi przedsiębiorstwo znakomicie prosperujące. Wybudował duży dom, luksusowo urządzać. Założył rodzinę i ma córkę. Na wspomnienie

z niego zdjęcia. Przedstawiały dziewczynkę w różnym wieku, ale to ta sama dziewczynka: z warkoczami, jako dziecko, potem modnie ostrzyżona panienka i wreszcie śliczna panna, uśmiechnięta, obejmująca jego matkę, przytulona do niej.

- Któż to jest, do cholery! Nie znał jej i nigdy nie widział. Nagle jego wzrok padł na fotografię, która wysunęła się trochę na bok. Zmarszczył czoło. Znał tę twarz. Szczupła kobieta stała na ganeczku jakiegoś domu. Trzymała na ręku dziecko i patrzyła prosto w obiektyw, chociaż miał wrażenie, że patrzy na niego.

Na podjazd wjechał samochód. Zatrzymał się, ktoś wysiadł. Zapiszczał centralny zamek i rozległ się donośny głos jego brata:

- Pani Gosiu! Jestem. Jest pani w domu?
- Dzień dobry... - nie dosłyszał dalszej rozmowy.
- Potem jeszcze do pani wpadnę i porozmawiamy.

Na schodach rozległy się ciężkie kroki i po chwili drzwi się otworzyły. Na progu stał jego brat. Posunął się trochę w latach, ale przecież miał już... no tak! Przekroczył czterdziestkę. Przywitani się serdecznie, ale niezbyt wylewnie. Brat zakrzętał się w kuchni i wkrótce z filiżanką herbaty stał przy nim.

- A co? Nie poznajesz? To Agnieszka z córeczką. Nie pamiętasz?

Przypominał sobie Agnieszkę jako młodą dziewczynę. Spotykał się z nią w czasie wakacji i nawet przez kilka miesięcy byli parą. Ładna była. Chciała go złapać na męża. Może i wyszłoby coś z tego, ale miał przed sobą studia, karierę i marzył mu się wielki świat. Nie chciał zakładać rodziny, nie chciał brać odpowiedzialności za rodzinę.

- Ty nie chciałeś brać odpowiedzialności, więc rodzice wzięli. To twoja córka. Nie pamiętasz? Brat jak gdyby odgadwał jego myśli.

Przypomniał sobie tę rozmowę, gdy Agnieszka powiedziała mu o ciąży. Wyśmiał ją. Powiedział, że nie jest jej pewny, bo nie wie z kim się ona jeszcze zadawała. Jego tu przecież nie ma. Tylko w czasie wakacji i to bardzo krótko. Przypomniał sobie. Bez słowa wtedy wyszła. Nigdy już jej nie widział. Zresztą nie starał się. Robił karierę.

- Co ten Jurek plecie? Rodzice wzięli odpowiedzialność? Co to znaczy? Za kogo?

Brat przyglądał mu się uważnie. Dobrze znał swego młodszego brata: liczyło się tylko jego zdanie, egoista i samolub. Ulubieniec mamusi. Z każdej opresji potrafił się wykarskać. Z drugiej zaś strony bezinteresowny, skory do pomocy, nie pytając o nic, byleby to nie przeszkadzało w jego karierze. Miał nawet żal do matki, że pobbązała bratu, że zawsze go usprawiedliwiała.

- A tak! Matka się dowiedziała, gdy twoja córka miała już pięć lat. Odnaleźli ją z ojcem. Przyjęli za wnuczkę. Często tu bywała. Ze swoich emerytur ustanowili alimenty i regularnie płacili. Wiedziałem o tym i chciałem ci to powiedzieć, ale mi zakazali. Powiedzieli, że jeśli ty nie chcesz się przyznać, widać masz swoje powody. Nie sprzeciwiałem się, ale teraz trzeba to wszystko uregulować. Te pakuneczki z maminej toaletki należą do ciebie. Powiedziała mi, że jak dorośniesz do tematu, mam ci je dać, co też czynię - zakończył trochę patetycznie.

Gapił się w fotografię bezmyślnie. Strzępy różnych informacji, które do niego docierały, a których nigdy nie próbował ułożyć w logiczną całość, bo uważał, że jego nie dotyczą, nagle same zaczęły się układać. Przypominał sobie pewne święta, na które nie zdążył dojechać, a w zasadzie odpuścić je sobie, a o które matka miała do niego wielki żal. I wtedy nawet bratowa zrobiła mu wyrzuty, aczkolwiek nigdy nie komentowała ani jego sposobu na życie, ani stosunku do tradycji, które trochę lekceważył.

Jurek znów odczytał jego myśli, bo wszedł w nie:

- Właśnie wtedy, w Wigilię miałeś poznać wreszcie swoją córkę. Matka z ojcem tak to ukartowali. Zawiodłeś ich. Płakała całą noc. Agnieszka też była zawiedziona, ale Dagmara poczuła się kompletnie zignorowana. Powiedziała, że nie chce już ciebie poznawać. Że cię nienawidzi, że jesteś dupek. I miała rację.

Jurek zachichotał, ale bez przekonania.

- Wiesz? Dagmara ma szesnaście lat. Kończy gimnazjum, a ponieważ jest bardzo zdolna, po szkole średniej chce iść na studia. A ty musisz ją dofinansować. Stać cię na to. Tak życzyła sobie matka i ojciec.

Zapadło milczenie. Jurek patrzył przez okno. Na podłodze leżały rozsypane fotografie. W otwartej szufladzie leżały dwa pakieciki. Chciał po nie sięgnąć ręką, ale była sparaliżowana. Coś mu umknęło z życia. Poniósł jakąś dotkliwą stratę, ale nie potrafił jej zlokalizować i dookreślić. Rozwiązanie tego problemu znalazło się poza zasięgiem jego racjonalnego rozumu. Bolało.

- Wiesz już prawie wszystko. Teraz przeczytaj to, co matka miała ci do powiedzenia i wtedy postanowisz. Dla nas Agnieszka i Dagmara i tak będą rodziną. Michalina przyjaźni się z nimi a moja żona obie traktuje jak siostry, bo jak wiesz, sama wychowała się w domu dziecka i zawsze marzyła o posiadaniu dużej rodziny. Mój stosunek do ciebie się nie zmieni. Ale ty powinieneś się zmienić. Tylko, czy ty potrafisz się zmienić? Czytaj! - odstawił filiżankę na stół i wyszedł. Po chwili drzwi naprzeciwko skrzypnęły.

Stał ogluszony wiadomościami. Podniósł wzrok i napotkał spojrzenie faceta z naprzeciwka. Facet gapił się na niego z dość głupim wyrazem twarzy. Zarozumiały, pewny siebie kosmopolita, dumny z tego, że wyrwał się z zaściankowości polskiej tradycji, złamał stereotyp pegeerowca. Wolny i nieskrępowany światowiec, smakujący życia. Zadowolony z siebie. Przyglądał się swojemu odbiciu w maminym lustrze i zobaczył siebie takim, jakim widziała go matka i ojciec: mały chłopczyk, któremu ciągle trzeba pomagać, wspierać i chronić.

Schylił się i pobierał zdjęcia. Metodycznie poukładał, zawinął w papier i przewiązał wstążeczką. Z szuflady zabrał pozostałe pakieciki. Jeden z nich to chyba zeszyt? Domyślił się. Delikatnie zamknął szufladę i nie patrząc w lustro, wyszedł z pokoju. Z wieszaka w korytarzu zdjął elegancki płaszcz, cichutko otworzył drzwi na klatkę i zaczął schodzić. Jak automat wyszedł na zewnątrz, podszedł do samochodu, wsiadł, odpalił i wyjechał z podjazdu.

Jechał spokojnie, mijając wsie, skręcając w jakieś drogi. Nie patrzył ani na znaki, ani na drogowaskazy. Jak długo jechał? Nie wie. Lawirowanie, skręty, wąskie szosy i ciągle przed siebie. Dlaczego bocznymi drogami? Nie wie. To trochę jak jego kariera. Zawsze do przodu. Ograniczony widok z przodu i znikający z tyłu. Wreszcie zatrzymał się na stacji benzynowej. Zatankował i zjechał na parking. Ze schowka wyjął butelkę wody mineralnej. Popił. Usiłował pobierać myśli. Uporządkować. Bezmyślnie gapił się w dal. Obok zatrzymał się samochód. Wsiadła z niego młoda kobieta. Otworzyła tylne drzwi i zaczęła uwalniać z fotelika dziecko. W końcu postawiła na ziemi dwuletnią dziewczynkę w śmiesznych palto-ciku i kapelusiku na głowie. Mała ucieszona, że jest wolna, zaczęła podskakiwać i klaskać w rączki. - Mama, mama tiu... - pokazywała paluszkami na wróbla beztrósko huśtającego się na gałęzce. Matka nachyliła się nad dzieckiem i coś jej mówiła, pokazując na ptaszka, a mała z powagą kiwnęła główką, zakręciła się energicznie i pobiegła do krzaczka. Matka szła spokojnie za dzieckiem.

Ale go zabolalo, ścisnęło za gardło, wzruszyło do głębi. On się sam pozbawił tego wszystkiego: ciekawości u dziecka, perlistego śmiechu, pierwszych słów śmiesznie kaleczonych,

ufnej rączki wyciągniętej do matki. Jego żołądek zaczął się zapętląć wokół włochatej guli jego ego.

Odniósł sukces w życiu. Wszystko mu się udawało. Był z tego dumny. Był z siebie dumny. Rodzice byli z niego dumni. Ale już nie żyli. Został sam ze swoją dumą, dumą nieprzydątną do życia, bo nie ma nikogo, kto byłby z niego dumny.

- Żeby tak cofnąć czas! Pamiętnik matki! Ona wie, jak czas cofnąć! - pomyślał.

Wyjął z saszetki pakiecik wielkości brulionu. Rozerwał papier. Jeszcze chwilę wpatrywał się w okładkę, podniszczoną i zaplamioną. Widocznie zawsze był pod ręką i matka pisała go w każdej chwili, gdy coś jej przyszło na myśl. Widać, że było to bardzo ważne.

Otworzył. Na pierwszej stronie wklejone było jego zdjęcie, gdy miał pięć lat. Pod spodem zdjęcie dziewczynki z podpisem: „Dagmara, córka Jakuba w wieku pięciu lat.”

„Dagmarę pomógł nam odnaleźć Jurek. O jej istnieniu powiedział nam Sebastian, kolega Kuby, zupełnie przez przypadek. Ale nie wiedział, gdzie mieszka Agnieszka z córką. Wyprowadziła się z domu do Bydgoszczy, gdy córeczka miała dwa latka. Jurek odnalazł je, poznał i nas tam zawiózł. Jakaż to śliczna dziewczynka. Pogodna przylepka. Mądra, pięknie rysuje i już czyta drukowane litery. Upodobała sobie dziadka, a on ją. Agnieszka jest zdystansowana wobec nas. Rozumiem ją. Dagmara na pewno jest córką Jakuba - podobieństwo jest olbrzymie...”

„...cena tej kariery będzie okrutnie wysoka. Ale Jakub musi pojąć, że za wszystko się płaci. Tego nie nauczyłam moich synów. Czy dorośnie do tego? Czy odnajdzie?...” - czytał słowa matki, zapisane w poplamionym brulionie.

„Dagmara pytała, dlaczego tatuś jej nie lubi. Próbowaliśmy zaprzeczać! Coś tłumaczyć ...”

Litery mu się zwały w jedną wielką plamę. Wysiadł z samochodu i poszedł do restauracji. Znalazł zaciszny kąt, złożył zamówienie i zagłębił się w czytanie. Ten brulion miał 160 stron i wiele kartek doklejonych. Wiedział, że gdy przeczyta ostatnią stronę, matka powie mu, co ma zrobić.

Nie. On już wiedział, co ma zrobić. Matka mu powie tylko, jak ma zrobić.

Natrętnie kołaczący w głowie głos brata, który z sarkazmem przekazywał mu zdanie Dagmary, „dupek”, i informacja o rozczarowaniu Agnieszki, zresztą kolejnym, przywiązanie bratowej i bratanicy do Agnieszki i Dagmary i zapewnienie brata o niezmiennym uczuciu do niego. Kryło się tu potępienie? Dopiero zrozumiał! No i te zdjęcia jego i Dagmary na pierwszej stronie zwyczajnego brulionu. To cała jego charakterystyka i jego krytyka - bezlitosna, surowa i rodzinna.

Za plecami zatupotały nóżki i doszedł go głos: - Pomalutku, ostrożnie, bardzo dobrze, ślicznie. Przy stoliku zatrzymała się mała dziewczynka i odsunawszy krzeselko, poczęła się nań wdrapywać. Młoda kobieta asekurowała dziecko, nie spiesząc jej z pomocą. Wreszcie mała siedziała przy stoliku, niemalże opierając brodę o blat. Podeszła kelnerka popychając przed sobą specjalny stolik dziecięcy i dosunęła go do stołu. Matka z wprawą przeniósł małą do siedziska, zapięła pas i wreszcie usiadła obok.

Całe zdarzenie obserwował ze swojego miejsca, boleśnie uświadamiając sobie, że to go minęło. Odpowiedzialność. Dorosnąć do odpowiedzialności. Straszliwie długo dorastał.

Teresa Nowak, Łupawa

w bibliotece



W bibliotece mieszka przytulna cisza. Wszystkie kondygnacje półek zasiedlone książkami. Jak plemiona, tworzą wysepki rodzinne

Okładki książek osłaniają ludzkie światy wydarte zapomnieniu. Na stronach zasuszone jak kwiatki doświadczenia życiowe, szczęśliwe i nieszczęśliwe miłości, sukcesy, klęski, upokorzenia i tragedie wojenne. Wszystko to blaski, cienie i nadzieje życia. Jednak pod skórą wyczuwa się pełne napięcia oczekiwanie światów ukrytych między okładkami. One modlą się o szansę, chcą być zauważone. Cierpliwie oczekują ciepłego dotyku dłoni. Czytane, ożyją ponownie.

Zadumaną ciszę zmałowało wejście młodego mężczyzny. Ujrzał dwie bibliotekarki przykute do biur i monitorów komputera. Jedna z nich wydawała książki czytelnicze. Mężczyzna uśmiechnął się i pozdrowił: - „dzień dobry miłej pani”. Pozdrowienie to popłynęło nad głowami pań niczym bukietik wonnych fiołków, uśmiechem przewiązanych na kokardkę. Zakłopotane uniosły głowy, rzęsy i brwi. - Być może to roz-targniony poeta zatopiony w marzeniach? Niesiony wyobraźnią, wszędzie widzi tylko tę jedyną i poza nią nie widzi już świata?

Może należy zapytać, dla której przeznaczył pozdrowienie?



Nie, nie. Ważniejsze przechwycenie tego spojrzenia z błyskiem w oku. Cóż, byłyśmy zapracowane.

Nieodebrany bukietik fiołkowego pozdrowienia się roz-płynął bez śladu. A szkoda.

Romana Matecka, Kwakowo

Zdradzątem zdolności do pisania poezji

Z Janem Stanisławem Smalewskim - pisarzem,
poetą i publicystą rozmawia Janusz Wrocławski

- Wydanie przez wydawnictwo MIREKI w Krakowie książki pt. „Łupaszka” pańskiego autorstwa odebrane zostało przez niektóre środowiska jako kolejny sukces wydawniczy.

- Myślę, że zarówno mój, jak i wydawcy, który widząc powodzenie na rynku księgarskim poprzednich moich pozycji historycznych, uparł się, by książkę wydać jeszcze w tym roku. Przed Bożym Narodzeniem, mając nadzieję, że wielu miłośników literatury historycznej zakupi ją na prezenty gwiazdkowe.

- Czytałem wycinki z lokalnej prasy, w których zwracano uwagę przede wszystkim na obfitość tytułów, jakie panu wydano w ostatnim czasie. Podkreślano przy tym, że miał wpływ na to sprzyjający klimat, jaki pan znalazł nad morzem.

- Dziennikarze zawsze szukają sensacji. Na przykład jedna z gazet napisała, że piszę pamiętniki od piątego roku życia. Gdyby to było prawdą, byłbym zapewne cudownym dzieckiem, a takim nigdy nie byłem.

- Ale w szkole średniej pan je już pisał. O tym jest przecież poprzednia książka „Prawiczek” wydana we wrześniu.

- Pamiętniki to ja pisałem od piątej klasy szkoły podstawowej. Takie rzeczywiście coś warte, o czym warto teraz pisać, zaczęły powstawać z upływem czasu i nabierania doświadczenia. Uznałem, że ostatni rok przed maturą, gdy stanąłem przed koniecznością dokonania wyboru drogi na przyszłość, był właśnie takim wyjątkowym w moim życiu okresem: dojrzewania i decydowania o swojej przyszłości.

- Policzył pan, którą samodzielną książką w pańskim dorobku literackim był „Prawiczek”?

- Przyznam szczerze, że zaczynam się już w tym gubić, ale na pewno znalazł się już w trzeciej dziesiątce.

- A w sumie, w Naćmierzu, gdzie pan zamieszkał kilka lat temu na stałe, napisał pan już ile książek?

- Czy w Naćmierzu? No, nie do końca. Bo tam mieszkamy z żoną tylko latem, pomagamy żonie prowadzić gospodarstwo agroturystyczne. Od października do maja mieszkamy od dwóch lat w Ustce i to właściwie tam zimą powstają moje nowe książki.

Od 2012 roku powstała najpierw nowa wersja trylogii akowskiej, którą wydano mi w Warszawie, a w latach 2013-2014 tę samą trylogię, tylko inaczej rozłożoną w publikacjach wydało wydawnictwo krakowskie. Krakowskiemu MIREKI zawdzięczam, że książki rozeszły się po całym kraju i dzisiaj są praktycznie dostępne wszędzie, mają je prawie wszystkie większe biblioteki w Polsce.

MIREKI wydało najpierw trzy kolejne tytuły mojej trylogii akowskiej: „U boku Łupaszki”, „Żołnierze Łupaszki” i „Więzień Kołomy”, a następnie dodatkową książkę także o działalności AK na Kresach Wschodnich „Pod komendą Łupaszki”, w której znalazły się publikowane przeze mnie na portalu www.pisarze.pl publikacje historyczne z serii „Z kart historii nieznannej” (26 publikacji) i „Sowieckie zdrady” (9 publikacji).

Te pierwsze trzy tytuły rzeczony trylogii, po dokonaniu niezbędnych cięć i uzupełnień, złożyły się obecnie na nową pozycję pt. „Łupaszka - trylogia akowska”. Ciekawostką zapewne będzie fakt, że poza tym, iż ma ona 660 stron druku, wydano ją zarówno w twardej eleganckiej oprawie, jak i w oprawie kartonowej. Napisałem też do niej obszerny wstęp, w którym ujawniam kulisy powstania tych książek.

- Czytałem gdzieś, że „Łupaszka” to ostatnia pana pozycja historyczna. Teraz będą już tylko pamiętniki.

- Trudno powiedzieć, czy ostatnia. Być może tak, jeśli chodzi o bogatą historię akowską o 5. Brygadzie AK i legendarnym jej dowódcy „Łupaszce” oraz o jego oficerach, w tym słynnym „Maksie”, któremu poświęciłem przecież także zupełnie oddzielną książkę z jego przeszło jedenastoletniego pobytu w łagrach Kołomy.

Na Dolnym Śląsku, gdzie poprzednio mieszkalem znane są inne moje pozycje, w tym „Wyrok Workuta” wydana przez IPN w 2007 roku, „4 czerwca 1989 wybraliśmy wolność” (2008). Książki te być może także będą teraz wymagały nowego spojrzenia i upowszechnienia wśród rosnącej liczby moich czytelników.

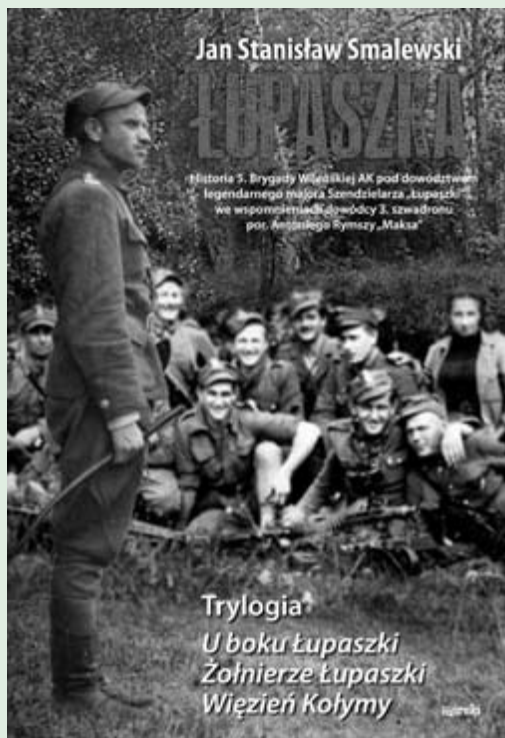
- No właśnie, miałem możliwość obejrzenia pańskiej poczty literackiej. Jest w niej wiele pochwał na temat wartości tych książek. Piszą do pana historycy zafascynowani ogromem pańskiego wysiłku, jaki pan włożył w udokumentowanie historii wojennej 5. Brygady AK na Wileńszczyźnie, ale i też chwalą pana za styl, język literacki tych publikacji zwykli czytelnicy.

- Tak, to jest dodatkowo bogate przeżycie, gdy otrzymuje się e-maile od czytelników, że dzięki tej, czy innej twojej książce ktoś nie tylko wzbogacił swoją wiedzę na dany temat, ale na

przykład stał się miłośnikiem historii współczesnej, albo na przykład, że dopiero po jej przeczytaniu zrozumiał, dlaczego w PRL AK-owcy byli żołnierzami wyklętymi.

- A wracając do „Prawiczka”. On także powstał w ostatnim czasie, prawda? pan z zawodu, przypomnijmy, był historykiem?

- „Prawiczek” powstał w tym roku, a w ostatnich dwóch latach powstały jeszcze dwie inne książki. Jedna, to powieść o charakterze współczesnego harlekina polskiego. Została ona zatrzymana na przysłowiowej taśmie z powodu kończenia prac nad trylogią. No i tomik poezji, szósty z kolei mój tomik „Pora kochanków”, bo pamiętajmy, ja nadal czuję się jeszcze poetą.



- **Przyznaję, że osobiście również cenię pańską pozycję i chętnie z niej korzystam. Pytałem jeszcze o pana zawód. W Internecie znalazłem też kiedyś mylną chyba informację, że kończył pan polonistykę.**

- Z tą polonistyką to było tak, jak z tym, że piszę od piątego roku życia. Pewna Rosjanka pomyliła politologię z polonistyką i tak gdzieś poleciało. Kończyłem przede wszystkim studia wojskowe, ale także studiowałem politologię na Uniwersytecie Wrocławskim. I studia podyplomowe z ekonomii oraz ze strategii wojskowości. Byłem oficerem w stopniu pułkownika. To wszystko łącznie wpłynęło niewątpliwie na moją wiedzę historyczną, na zrozumienie realiów prowadzonej wojny polsko-bolszewickiej na Kresach, ale także pomaga mi w bieżącej działalności literackiej. Ponad 70 publikacji na portalu literackim www.pisarze.pl to też spory dorobek, którym nie każdy może się pochwalić. Są to artykuły i poważne publikacje historyczne (niekiedy także pisane z myślą o konferencjach naukowych), oraz felietony na tematy współczesne.

- **Nie daruję panu tematu „Prawiczka”. Musimy go zamknąć, bo jak przeczytałem, to od tego czasu, czasu pańskiego pobytu w liceum zaczęła się pana przygoda z literaturą.**

- No tak, to prawda, w szkole zdradzałem zdolności przede wszystkim do pisania poezji. Nauczyciele języka

polskiego i łaciny postanowili wesprzeć finansowo moich rodziców, żebym mógł studiować polonistykę. Urodziłem się w rodzinie osadników Ziemi Zachodnich koło Sycowa, na wsi była bieda, moich rodziców nie było stać, bym poszedł na studia. Gdy jednak dowiedzieli się, że „obcy ludzie chcą im wychowywać dziecko” moja matka kategorycznie się temu sprzeciwiła. Nie miałem innego wyjścia, albo pozostać na wsi, albo niezależność. Wcześniej odrzuciłem pomysł pójścia do seminarium duchownego, pozostała więc jedynie szkoła wojskowa.

„Prawiczek” jest głównie o tym. I o samej szkole, o środowisku, o nauczycielach. To naprawdę całkiem inny świat niż obecnie, warto o tym przeczytać.

- **Na zakończenie zatem tradycyjne pytanie: nad czym pan pracuje obecnie?**

- Niebawem myślę wydać wreszcie tę wcześniej zapowiadaną powieść o małżeństwach sanatoryjnych, modnych w czasach PRL. Zatem to też trochę historia. Piszę też kolejny tom wspomnień, tym razem już z samej szkoły oficerskiej pt. „Szkoła strachu”. To z kolei będzie coś w rodzaju znanego czeskiego Szwejka. Naprawdę.

*Janusz Wrocławski jest redaktorem naczelnym elbląskiego kwartalnika „Tygiel”, z którym J. S. Smalewski współpracuje na stałe.



egzamin

Co już drugi dzień, jak jestem dumną posiadaczką prawa jazdy. Jeszcze nie mogę w to uwierzyć. Patrzę na formularz egzaminacyjny i kolejny raz czytuję najwspanialsze słowo „egzamin zaliczony”. Nad formularzem leży mój dokument uprawniający do prowadzenia samochodu. Przypominam sobie kolejne egzaminy oblewane. Słyszę głos egzaminatora: „Niestety”, „Oblata pani”, „Nie zaliczam”, „Przykro mi. Proszę jeszcze wykupić sobie kilka jazd!”. Tyle razy!!! Nie poddałam się jednak i oto jest mały prostokąt, foliowany, z nieciekawym zdjęciem. Ale jaką ma moc! Wracam myśląc do tego dnia, gdy wreszcie usłyszałam: „Zdała pani. Gratuluję!”

Nie pamiętam, jak wysiadłam z samochodu, jak doszłam do autobusu, jak wróciłam do domu. Doskonale jednak pamiętam ten ostatni egzamin.

* * *

Podchodzę do egzaminu kolejny już raz. Nogi sobie, ręce sobie. Trzyma mnie rozsądek. Idę bez wiary, bez czucia, tylko mrok i suche gardło. Panika. Patrzę na siebie sprzed dwóch tygodni. Nie mogę się z nią rozstać, z tą przegraną...

Co to?... Co to? - zza otwartego okna pyta niespokojnie jakiś ptak. Też słyszę panikę w jego śpiewie.

- Proszę się tak nie denerwować! Proszę się uspokoić. Będzie dobrze - gdzieś zza horyzontu dociera do mnie głos egzaminatora. W szumie myśli głos zda się szeptem.

Szuranie samochodowych opon po wilgotnym asfalcie dobiega zza otwartego okna, uparcie przerywa nitkę myśli. Na placu ktoś zdaje egzamin. Skoncentruj się. Nie słuchaj. Myśl

- Co to? Między przejeżdżającym samochodami.

- Stuk,... stuk,... - obcasy po chodniku i szmer niezrozumiałych słów. Chyba ktoś już skończył, nie myśl i nie patrz, bo się zapatrzyasz i zapeszysz.

- Teraz podjadę na łuk i pani zrobi ten manewr. Proszę iść wolno, spokojnie oddychać.

Idę bardzo wolno, wyrównując oddech. Wóz albo przewóz. Nie pierwszy to raz. Umieję to robić. Słuchaj mnie samochodziku, chcę tylko zdać, bo w garażu czeka na mnie mój własny

- Proszę przygotować się do jazdy i spokojnie wykonać manewr. Da pani radę - głos egzaminatora jest życzliwy, uspokajający.

Jadę w przód i w tył. Patrzę na najwyższego sędziego. Kiwa głową z aprobatą. Wsiada obok.

- Jest dobrze, a teraz wzniesienie. Proszę się uspokoić.

- Tak? Oblizuję wargi. W torebce mam wodę, ale nie śmiem zapytać, czy wolno mi po nią sięgnąć. Czas jest cenny.

Jadę. Hamulec. Ręczny. Lekko gaz. Silnik chce jechać. Spuszczam ręczny i jadę. Płynnie.

- Co to? Co to? - Nieustannie pyta za oknem ptak.

- Ciiiiii, ciiiiii, ciiiiii... - uspokaja.

- Proszę się tu zatrzymać. Porozmawiamy i pani się uspokoi. Manewry zaliczone. Damy radę. Powiem o warunkach egzaminu w ruchu ulicznym.

Dokładnie wskazuje miejsce zatrzymania. Stoimy. Z uśmiechem spokojnie wyklada mi warunki zdania i manewry przerywające egzamin. Słucham jednym uchem. W książce to litania „Nie wolno”.

Pytam o możliwości pytania w czasie jazdy. O dziwo! Mogę oczekiwać powtórzenia polecenia.

- Może pani w trakcie jazdy śpiewać, gwizdać, mówić, nic mi nie będzie przeszkadzało. Ma pani tylko poprawnie wykonać moje polecenia, a wszystko, co ułatwi koncentrację i uspokoi, jest dozwolone - słyszę życzliwość w głosie. Oddycham głęboko.

Co za ludzki facet. Nie tylko dostrzega moje zdenerwowanie, ale próbuje mi pomóc. Jego poprzednicy urzędowym tonem wszystkiego zabraniali. Gadali o poczuciu odpowiedzialności egzaminatorów za kierowców, za wypadki.

- Gotowa? No to ruszamy!

Mówię na głos: kierunkowskaz, skręt, wyrównanie, zmiana biegu, przyspieszam. O, o, silnik prosi o trójkę. Zakręt, noga z gazu, wychodzę z zakrętu, noga na gaz.

- Dobrze!!!

Jak mnie te słowa cieszą. Czuję się coraz pewniej. Bruk. Samochód dygocze. - Nie gniewaj się na mnie samochodziku! To twój pan każe mi jechać po tych wybojach.

- Nie jestem jego panem. On należy do WORD-u.

- To jakby był bezpieczni. I nikt go nie głaszcze, nie chwali...? Skupiam się na manewrze. Wykonuję go już ze spokojem. Tyle razy to robiłam na kursie. Egzaminator uważnie obserwuje moją jazdę, toteż dopiero, gdy wyjechaliśmy na prostą powiedział:

- No nie! A pani tak zdrobniale mówi, pieszczotliwie do wszystkich przedmiotów? - patrzy na mnie z zainteresowaniem.

- Podlizuję się mu, bo to od niego zależy mój egzamin! Prawda autko? - Silnik zamruczał łaskawie. - Wie pan? Mąż też mówi o swoim samochodzie zdrobniale: Omeżka.

- A pan jak nazywa swój pojazd? Pieszczotliwie, czy tak bezosobowo?

Milczenie, a dopiero po dłuższej chwili, po wykonaniu przeze mnie następnego zleconego manewru: - Moje auto nigdy mnie nie zawiodło. Tak sobie przypominam. Nie! Zawsze na chodzie. Tylko drobne zabiegi - olej, płyny... Chyba zacznę go też nazywać zdrobniale.

Jedziemy. - Bóg mnie opuścił - mówię już bez drżenia. Zmiana świateł na czerwone. Gwałtownie hamuję. Samochód staje w miejscu. Głaszczę pieszczotliwie kierownicę.

Pan G. się zaśmiał. - Ja bym jeszcze przejechał na zielonym, a pani niepotrzebnie zwolniła, bo mogła przejechać na żółtym.

Doświadczenie zdawania i oblewania nauczyło mnie asekurantwa i nie podejmowania ryzyka. Wiem, że wtedy może nawet zgasnąć samochód. Tłumaczę się:

- Bo ta piesza, co tak szybko idzie do przejścia. Może chciała... Wie pan? Różne są sytuacje życiowe, które przesłaniają nam umysł. Sama coś takiego przeszłam.

- Współczuję. Też mam za sobą dramat. No cóż, takie życie. Dobrze, że pani tak myśli, chociaż jak znam życie, szybko nauczy się pani, że trzeba jechać do ostatniego błysku. Parę razy ktoś zatrąbi...

- Jestem odporna na tych, co się spieszą. A na trąbienie, zniecierpliwienie nie reaguję. Znam to z podróży z mężem. On bardzo się starał. Nie tylko nie przeszkadzać, ale i upominać maruderów.

Wreszcie ostatnie polecenie: - Wracamy na plac. Najkrótszą możliwą drogą. Szybko w myślach przebiegłam możliwą trasę i już dość pewnie pojechałam. Przez rondo, przez światła, zjeżdżając do środka jezdni. Na plac. Parkowanie pod wiatą i długo oczekiwane słowa...

Jeżdżę bardzo ostrożnie. I coraz bardziej lubię jeździć. Czuję się wolna.

**Teresa Nowak
Łupawa**



dorian gański - ipswich

Mam osiemnaście lat. Urodziłem się w Bytowie, od pięciu lat z rodzicami i młodszą siostrą mieszkam w Ipswich, w Wielkiej Brytanii. Obecnie jestem w klasie maturalnej. Moją pasją jest literatura, szczególnie literatura fantasy. Wiersze, które są wyrazem moich wewnętrznych przeżyć i natchnień, piszę od kilku lat. (z)

AMNEZJA

*Co odeszło nie powróci.
Co się stało nie odwróci.
Dzień się nocą znów nie stanie.
W pył się zmieni wszelki kamień.*

*Papier żółknie ze starości.
Z martwych ciał zostaną kości.
Co się błyszczy zmatowieje.
Martwe liście wiatr rozwieje.*

*Młodość niczym sen przeminie.
Starość ciało Twe owinie.
Myśli znikną w niepamięci.
Gdzieś zaginę dobre chęci.*

*Woda zmyje zamki z piasku.
Sen się urwie w świetle brzasku.
Miłość stanie się wspomnieniem.
A marzenia wątłym cieniem.*

*Pieniądz wartość swoją straci.
Spór rozdzieli dwojkę braci.
Czas rozkruszy wielkie góry.
Mech obrośnie wszystkie mury.*

*Siła z czasem też zmarnieje.
Amnezja strawi dawne dzieje.
Śluby zostaną złamane.
A Twe życie zapomniane.*

NA TERYTORIUM WROGA

*Na terytorium wroga,
Czuję ich oddechy,
I nieopisana trwoga,
Wypomina mi me grzechy.
Na przekłętej ziemi,
Wyraźnie widzę ich sylwetki,
Nieprzyjaznych cieni,*

Obraz ostry jak żyłki.

Zapomniałam o swej misji.

*Daleko od domu,
Nikt nie słyszy moich krzyków,
Nie opowiem nikomu,
Ani jednej z moich przygód.
Otaczają mnie wrogowie,
Każdy cień mnie przebytuje,
Już nic im nie odpowiem,
Bo nikt mną się nie zajmuje.*

Gdzie mój cyjanek?

*Niebieski mały statek,
Na wzburzonych falach śliny,
Żegna się ze światem,
Zwiedzając czerwone głębiny.*